

EDERLY

autor:

Piotr Dumała

Andersa Street Art. And Media
Ul. Andersa 13/37, Warszawa
bkrakowka@gmail.com
0 603 353 748

PROLOG

Serpentynami wiejskiej szosy jedzie wolno autobus dalekobieżny. Lekko falujący krajobraz oświetla zachodzące słońce. Lipiec, dojrzałe pola goreją w jego ciepłych promieniach. Autobus toczy się i wspina się po wyboistych polnych drogach, na rozwidleniach mijając niewyraźne drogowaskazy. Obserwujemy go to z daleka, to z bliska. Czasem pojawia się widok z wnętrza przez okno. Rozmazują się kształty mijanych drzew, domów, chaszczy, krawędzi niekończących się łąnów zbóż. Można mieć wrażenie, że autobus zboczył już dawno z kursu i nie wiadomo dokąd teraz zmierza. (referencją są sceny początkowe filmu pt. „Noc iguany” reż. John Huston, USA 1964).
(animacja: falujący roztarty krajobraz zamienia się w abstrakcyjną animację linii rysowanych słojami drewna. Linie to mroczne, to rozbłyskujące jaśniej, wiją się jak szalone węże, szybciej i szybciej...)

AKT I

1. WNĘTRZE DALEKOBIEŻNEGO AUTOBUSU. WIECZÓR.

SŁOW siedzi drzemiąc przy oknie autobusu. (Słow to około czterdziestoletni mężczyzna o dość krótko ostrzyżonych włosach z wyraźnymi zakolami). Autobus stoi na przystanku w szczerym polu. Za oknem bezkresne łąny dojrzałego zboża. Jest wieczór. Mężczyznę próbuje obudzić tęga wiejska baba okutana w chustkę i serdak ciasno opinający duży biust. Zdumiewać może jej wyrazisty makijaz i ukryta pod nim zaskakująco subtelna uroda. Silnik autobusu, pracuje na wolnych obrotach. Facet z trudem budzi się z męczącej drzemki.

BABA

(szarpiąc mężczyznę za ramię)
Panie! Panie! Zbudź się pan! Te!

KIEROWCA

No jak? Wysiada kto?

BABA

Wysiada, wysiada taki jeden! No,
wstawaj pan! Wyłaż pan, toż to
pański przystanek już!

Słow wreszcie reaguje na próby zbudzenia go, przyciska do siebie torbę, rozgląda się nieprzytomnie. Baba daje mu łokciem potężnego kuksańca w bok.

2. PLENER. WIECZÓR. PRZY SZOSIE.

Pobocze szosy obok stojącego autobusu. Otwierają się nagle drzwi i wypada z nich mężczyzna, ledwie się nie przewraca, pasek jego torby zawadza o klamkę. (animacja: niedokładne powtórzenie sceny jego wysiadania/wypadania z autobusu, wzbija się pył, ulatują papierki/motylki) Odczepia nieporadnie pasek, w pośpiechu, trzęsącymi się rękami. Drzwi się zamykają i autobus nie zwlekając odjeżdża. Pozostawia Słowa w tumanie kurzu. Odgłos autobusu cichnie niemal natychmiast. Powoli opada pył. Słychać tylko granie świerszczy. Słow stoi lekko przygarbiony na piaszczystym poboczu drogi. Prostuje się, rozgląda dokoła. (teraz można ujrzeć po raz pierwszy wyraźnie jego twarz o mocnych rysach, dość przystojną i wciąż jeszcze młodą) Poprawia torbę na ramieniu, przygląda łysiejacą czuprynę. Za nim bezkresne pola dojrzałego zboża. Na twarzy przybysza ciekawość miesza się z niepewnością siebie. Wciąż jest nie w pełni obudzony. Po drugiej stronie szosy widzi pusty szeroki plac wydeptanej ziemi. Na jego krańcach ciemne zarysy drzew. (animacja: daleki krajobraz pustkowia z ciemnym pasemkiem drzew na horyzoncie) Zniknął już jakikolwiek ślad po autobusie, jakby nigdy go nie było. Szybko zapada zmierzch. Słońce znika właśnie za drzewami. Słow przechadza się niezdecydowany wzdłuż drogi niczym po nabrzeżu rzeki nie mogąc znaleźć przejścia. Tuż za nim tabliczka przystanku autobusowego z zatartym napisem mogącym brzmieć jak „Ederly”. Przybysz spogląda na zegarek w telefonie komórkowym. Na ciemniejącym niebie gęstnieją chmury. (animacja: chmury na zachodnim niebie) Mężczyzna grzebie butem w piaszczystej suchej ziemi. Kopnięciem posyła mały kamyk prosto w ciemne przydrożne krzewy. Rozgląda się. Słychać wciąż intensywne granie świerszczy. Wydaje się, że przybysz jest tu zupełnie sam, nie wie dokąd się udać i nie jest pewny, czy wysiadł na właściwym przystanku. Wtem zauważa całkiem niedaleko od siebie przesuwającą się chłopięcą sylwetkę zanurzoną po pas w zbożu. CHŁOPAK przeskakuje rów i wchodzi na szosę.

SŁOW

Hej! Hej, ty!

Chłopiec zatrzymuje się na środku drogi i po chwili grzecznie zbliża do Słowa, jest od niego nieco niższy, szczupły, o ładnej twarzy, ma około dwunastu lat. Uśmiechając się odgarnia jasne loki włosów z czoła. Wieje lekki wiatr.

CHŁOPIEC

Tak, słucham pana...

(CONTINUED)

SŁOW

(trochę zmieszany uprzejmością
chłopca)

Właśnie przyjechałem... Gdzieś
tutaj jest kościół i wioska...

(chłopiec słucha cierpliwie)

ale nie wiem jak trafić. Bo muszę
znaleźć miejscowego księdza...

CHŁOPIEC

Pan jest tym konserwatorem
zabytków, na którego czeka ksiądz,
tak?

SŁOW

(waha się przez chwilę z
odповідzią)

Eeee... jeden znajomy mi
powiedział, że ksiądz ma tu jakieś
rzeźby do konserwacji...

(śmieje się nerwowo)

no ale nie wiem, może to już
nieaktualne...

CHŁOPIEC

To pewnie chciałby pan i zanoćować
u księdza, prawda?

SŁOW

Tak, oczywiście, tylko że...

CHŁOPIEC

(uśmiechając się)

No właśnie! Ale teraz kościół już
zamknięty.

SŁOW

Niemniej chętnie bym odwiedził tego
księdza i wypytał...

CHŁOPIEC

(z przekonaniem)

Ksiądz nie przenocuje pana.

SŁOW

(z wymuszonym uśmiechem,
trochę stropiony)

Dlaczego?

CHŁOPIEC

Ma tylko jeden pokój i mieszkają w
nim we trójkę, z gospożą i
organistą. Nie będzie tam miejsca
dla obcego.

(CONTINUED)

SŁOW

(z nadzieją)

No, ale może pomógłby mi coś
znaleźć we wsi...

CHŁOPIEC

Czy by pomógł... Nie wiem...

(nagle ożywiony)

Ale ja mogę panu pomóc! Widzi pan
ten dom?

(pokazuje palcem w mroczną dal
placu, Słow wpatruje się ale
nic nie widzi)

Tam, między drzewami...

(Słow przytakuje bez
przekonania)

Mają tam pokoje gościnne dla takich
jak pan.

SŁOW

(nastroszony)

Czyli jakich?

CHŁOPIEC

(niespieszony)

Nie chciałem powiedzieć nic złego.
Po prostu wynajmują tam pokoje
turystom, no i... takim jak pan.

Uśmiecha się trochę przekornie, trochę przepraszająco i
wyciąga rękę, by pomóc Słowowi przeskoczyć przez rów przy
szosie. Słow stara się przeskoczyć sam ale w zapadających
ciemnościach traci równowagę i chłopiec musi go podtrzymać.

SŁOW

(tuszując swoją niezręczność)

Ta miejscowość nazywa się Ederly?

CHŁOPIEC

Ederly, Ederly... To jak? Trafi
pan?

Słow kiwa głową i rusza w stronę wskazaną wcześniej przez
chłopca. Jest już prawie zupełnie ciemno.

CHŁOPIEC

(z offu)

Uwaga na kałuże!

Słow ogląda się za siebie, ale w ciemności nie widzi już
chłopca.

3. PLENER. PUSTY PLAC. PÓŻNY WIECZÓR.

Słow teraz jest sam, musi się skupić, by nie wejść w po ciemku w kałużę a potem odnaleźć wskazany dom. Znajduje w kieszeni telefon komórkowy i stara się oświetlać nim drogę. Widzi, że powierzchnia placu porozjeżdżana jest ciężkimi kołami wozów i traktorów. Można dostrzec gdzieś leżące resztki warzyw. Wielkie rozgniecione kalafiory, liście kapusty, pęki naci z marchwi. Wałają się końskie łajna i kawałki połamanych skrzynek. Można się domyśleć, że za dnia było tu targowisko. Słow idzie ostrożnie by nie wdepnąć w kupę lub kałużę. W niektórych zagłębieniach błyska woda.

SŁOW

(szeptem do siebie pociągając
nosem)

Zgniłe warzywa... Zapach ziemi...

Ach!... Lubię ten smrodek...

Chrzanu, kalafiorów, kapusty, nawet
końskiego gówna...

Drzewa, koniec placu, gęste porzeczkowe krzewy, ogrodzenie z siatki a w głębi ciemna sylwetka domu. (animacja: zbliżająca się ciemna gęstwina krzewów) Słow zrywa kiść porzeczek, wkłada ją do ust, otwiera furtkę i wchodzi do ogrodu.

4. PLENER. OGRÓD. PÓŻNY WIECZÓR.

Słow idzie powoli wąską ścieżką jaśniejącą w gęstwinie ogrodu. Chowa do bocznej kieszeni torby telefon. Ścieżka prowadzi do mrocznej drewnianej werandy oplecionej winoroślą. Cały dom wydaje się być uśpiony, ale można mieć wrażenie, że obserwuje przybysza spod na wpół przymkniętych powiek. Od strony mrocznego wnętrza werandy, poprzez rozjaśnione okna wyraźnie rysuje się sylwetka obcego, który zbliża się, zatrzymuje przed drzwiami, zagląda i, po chwili wahania, stuka lekko w szybę. (referencja: początkowe sceny filmu „Wampir” reż. Carl Theodor Dreyer, Francja/Niemcy 1932) Cisza. Słow postanawia obejść dom dookoła. Dzięki temu natrafia na okna parteru po drugiej stronie. Poprzez szczeliny w zasłonach można dostrzec wnętrze dużego pokoju, gdzie wokół stołu siedzi przy kolacji kilka osób. Słow wraca do drzwi werandy i stuka odważniej, głośniejsze. Po chwili w głębi domu błyska światło i na werandzie pojawia się postać (Służąca) niosąca świecę. Młoda kobieta twarz zbliża się do szyby. Widok Słowa wywołuje na niej lęk i zdumienie. Widać to głównie w oczach, które rozszerzają się nienaturalnie podczas gdy cała twarz pozostaje zupełnie spokojna. Kobieta zdmuchuje świecę. (animacja: niedokładne powtórzenie obrazu twarzy kobiety za szybą w blasku świeczki) Otwiera drzwi i cofa się do wnętrza. W milczeniu i napięciu przyglądają się

(CONTINUED)

sobie. Kobieta ma duże oczy i ciemne włosy upięte w kok. Po dłuższej chwili lekkim zapraszającym gestem zdaje się wskazywać mu drogę dalej. Słow ma wrażenie, że dziewczyna przygląda mu się wciąż uważnie i w napięciu widząc w ciemnościach, jak kot. Jest trochę zdziwiony całą sytuacją, lecz nie na tyle, by nie mieć śmiałości do wejścia.

5. WNĘTRZE WERANDY I KORYTARZ. PÓŻNY WIECZÓR C.D.

Słow wchodzi do środka werandy, mija dziewczynę i rusza korytarzem dochodząc do drzwi salonu. Kobieta podąża za nim. Słow mija drzwi po lewej i prawej stronie, wszystkie są pozamykane. Koniec korytarza rozświetla jasność wpadająca przez boczne drzwi z lewej strony. Dochodząc tam Słow zauważa wielkie lustro w rzeźbionej ramie, przystaje przed nim na chwilę i poprawia swój wygląd. W lustrze odbija się też częściowo oświetlone wnętrze salonu. Słow dostrzega kilka osób siedzących tam przy okrągłym, białym nakrytym i zastawionym stole. Jedzą kolację albo obchodzą jakąś rodzinną uroczystość. Wydaje się, że uciszyli rozmowy zaciekawieni pojawieniem się niespodziewanego gościa i czekają na jego wejście do salonu.

6. WNĘTRZE SALONU. PÓŻNY WIECZÓR C.D.

Kiedy Słow odwraca się i wkracza do salonu na twarzach siedzących przy stole pojawia się wyraz największego zdumienia. Słow chce coś powiedzieć ale ich reakcja odbiera mu mowę. Przenosi tylko niemy wzrok na kolejne osoby. Widzi skurczoną drobną staruszkę (MATKA), bruneta po pięćdziesiątce w grubych okularach (BRAT), eleganckiego starca z obwisłą wargą (PROFESOR), blondynkę o okrągłej dziecinnej twarzy (NARZECZONA) i czarno ubranego bruneta z brodą w typie szalonego artysty (ORGANISTA). Wpatrują się w niego nieruchomym wzrokiem. Narasta niewyjaśnione napięcie. Słow czuje się tym sparaliżowany. Za jego plecami, w progu salonu, zatrzymała się ciemnowłosa dziewczyna, która otworzyła mu drzwi. Jej czarna suknia z białym kołnierzykiem i pewien dystans i respekt jaki zachowuje wobec siedzących przy stole pozwalają sądzić, że jest służącą w tym domu. Dopiero teraz, w świetle lampy, Słow dostrzega wyjątkową urodę dziewczyny. Tymczasem od stołu podnosi się staruszka i drobnymi kroczkami, lekko się chwiejąc, jakby musiała iść po narysowanej kredą linii, posuwa się w stronę Słowa. Zbliżając się wyciąga ręce o szczupłych, pomarszczonych dłoniach. Jej podkreślone kredką oczy są pełne łez. Małe, skurczone usta poruszają się niemo i drżą od powstrzymywanego wzruszenia. W napiętej ciszy wydobywają się z nich wreszcie niewiele głośniejsze od szeptu słowa. (animacja: niedokładne powtórzenie zbliżenia twarzy idącej staruszki).

MATKA

Synku, syneczku...

Drżąca, chwiejąca się postać Matki zbliża się do Słowa na tle znieruchomiałej grupy siedzącej przy stole. Słow nie jest wciąż w stanie poruszyć się ani wydobyć z siebie głosu. Jest zdumiony i trochę przestraszony ale też rozśmieszony tą nieoczekiwaną sytuacją. Odgina się sztywno do tyłu nabierając powietrza i mimowolnie uśmiechając się nerwowo. Jest całkiem bezradny niczym Hutter stojący naprzeciw nadchodzącego Nosferatu. („Nosferatu - symfonia grozy” reż. Wilhelm Murnau, Niemcy 1922) Staruszka nagłym rzutem obejmuje go w pól i przywiera do niego, sztywnego jak słup soli, całym swym drobnym ciałem. Słow jest od niej dużo wyższy. Staruszka przytula głowę do jego piersi, po jej mizernym policzku płynie łza. Unieruchomiony uściskiem starszej pani Słow patrzy ponad jej głową na osoby przy stole, jakby oczekiwał od nich wyjaśnienia. Służąca obserwuje tą scenę z przejęciem i wzruszeniem niczym filmowy melodramat.

MATKA

Syneczku... wróciłeś, wróciłeś...
jednak wróciłeś...

Towarzystwo przy stole powoli wraca do życia. Idą w ruch widelce, zamarle w połowie drogi do ust, szczęki zaczynają przeżuwać, pojawiają się wymawiane półgłosem komentarze. Profesor, nie odwracając wzroku od Matki i Słowa, niezgrabnie usiłuje nałożyć sobie na talerz jajko w majonezie. Śliskie jajko spada na obrus. Profesor pomaga sobie palcami. Zawstydzony rozgląda się ukradkiem, czy nikt nie zauważył jego gafy. Blondynka szepce coś na ucho mężczyźnie z brodą. Ten kiwa powoli głową. Potem oboje spoglądają uważnie na Słowa i Matkę. Facet w grubych okularach odwracający się nienaturalnie w stronę Słowa mruga jednym okiem jakby pod wpływem tiklu i uśmiechając się szyderczo gniecie w dłoni serwetkę. Jego spojrzenie wbite w Słowa jest ironiczne, pogardliwe i nienawistne. Chwilę później siedzi znów twarzą w stronę talerza. Słow próbuje się wreszcie uwolnić z uścisku Matki, której twarz ma w sobie coś z niesamowitości gwiazd kina niemego a figura emanuje wewnętrzną siłą i blaskiem. Słow nie chce urazić uczuć starszej dostojnej damy przeżywającej silne wzruszenie. Stara się możliwie delikatnie zdjąć z siebie jej ramiona ale nie jest to łatwe. W końcu ogarnia go gniew. Siłą rozrywa uścisk i natychmiast, jakby przestraszony własną śmiałością cofa się o krok. Matka pozostaje z wyciągniętymi sztywno rękami i całą sobą wyraża niemy protest: „Jak mogłeś, synku!?”. Reszta osób obserwuje ich z uwagą, wstrzymując oddech, ale w żaden sposób nie reaguje. Powoli poruszają tylko ustami nie przerywając jedzenia, jakby obserwowali intrygujący spektakl.

(CONTINUED)

SŁOW

(trochę nieskładnie, ale z naciskiem)

Proszę pani... Ja... jestem konserwatorem zabytków. Mam tu dostać pracę u księdza i słyszałem, że...

BRAT

(wciąż skupiony na swym talerzu, tyłem do Słowa, głosem nieznoszącym sprzeciwu)

Przestań!

(animacja: niedokładne powtórzenie tej sceny)

MATKA

(czując wsparcie, łagodnie i perswazyjnie, panując nad wzruszeniem)

Synku, ja wiedziałam, że wrócisz. Ja wierzyłam, zawsze wierzyłam, że żyjesz. Serce matki wie wszystko, zna prawdę o swoim dziecku.

SŁOW

(tłumacząc łagodnie)

Proszę pani...proszę pani, ja strasznie przepraszam, naprawdę, jest mi bardzo przykro, właściwie głupio... Może ja jestem do kogoś podobny, ale...ja nie jestem pani synem. Nazywam się Słow i przyjechałem tu do pracy. Jestem z zawodu konserwatorem rzeźby kamiennej i nagrobków...

Rozgląda się pełen nadziei, że teraz zostanie zrozumiany. Jego wzrok trafia jednak na Brata, który zbliżył się nie wiadomo kiedy i zatrzymał o centymetr od jego twarzy.

BRAT

(z zaciśniętymi szczękami gładko ogolonej twarzy)

Przestań powiedziałem! Czy mam cię spoliczkować? Siadaj do stołu, wyjaśnisz wszystko później.

MATKA

(już spokojna)

Krzysiu, nie bądź dla niego taki surowy. Cieszymy się wszyscy, że wrócił i że jest znowu z nami.

(CONTINUED)

SŁOW

(do brata, lekko zirytowany)
Pan, jak widzę, również nie
rozumie, że zaszło tu
nieporozumienie.

BRAT

(ciszej, chcąc zakończyć już
te utargi)
Dobrze, dobrze. Siadaj już, starczy
tego.

MATKA

(naiwnie uśmiechając się)
Co tam mówicie, chłopcy?

BRAT

Nic, nic. To wszystko jedno, mamó.

SŁOW

(chcąc zakończyć rozmowę)
Kochani państwo, ja naprawdę jestem
tutaj po raz pierwszy w życiu...

MATKA

(wygłasza swój finał)
Synku, mój biedaku. Ja wiem, kim
jesteś. Poznaliśmy cię wszyscy.
Zyjesz, jesteś zdrowy. I to jest
najważniejsze. Prawda? Moi drodzy!
(zwraca się do siedzących przy
stole)
Profesorze, no niechże pan coś
powie!

PROFERSOR

(dystyngowany, unosi się z
szacunkiem i skrępowaniem)
Pani Mario...

Milknie, jakby ze zbyt wielkiej uwagi dla starej damy.
Wszyscy siedzący przy stole spoglądają jednocześnie z
szacunkiem na staruszkę wydając z siebie nieme westchnienie,
po czym znowu podejmują konsumpcję. Matka przyjmuje ich
reakcję z wdzięcznością i spogląda ciepło na Słowa.

BRAT

(surowo i dobitnie)
Wyjaśnisz to później. Siadaj
wreszcie, ty zgniłku.

Sam, uznając temat za wyczerpany na obecną chwilę wraca do
stołu, wciska za kołnierzyk koszuli brzeg obrusa niczym

(CONTINUED)

serwetkę i z zaskakującym zapalą bierze się za jedzenie. Pochylony nad talerzem gryzie, przeżuwa i gwałtownie łyka wielkie kęsy niczym drapieżnik. Słow patrząc na niego też zaczyna przełykać ślinkę. Staruszka daje znak Służącej, która natychmiast przystawia dodatkowe krzesło pomiędzy Matkę i Brata. Słow ociągając się robi jeden krok w stronę stołu. Chwilę później Służąca przynosi czyste nakrycie a Słow coraz bardziej łakomie spogląda na smakowicie wyglądające dania, których zapach wabił go już od wejścia w korytarz wiodący do salonu. Decyduje się usiąść przy stole udając, że robi to tylko „przez grzeczność”. Dyskretnie obserwuje też piękną Służącą. Ma wrażenie, że ona rzuca mu także pełne zainteresowania spojrzenia.

SŁOW

(starając się mówić ze swobodą
i gracją)

No cóż... Chętnie zostanę u państwa
na kolacji.

Siada na dostawionym krześle. Od jego lewej strony kolejno siedzą wokół stołu: Matka, Profesor, Narzeczona, Organista i wreszcie - z prawej strony - Brat. Matka zaczyna natychmiast troskliwie i gorliwie, nie pytając Słowa o zdanie, nakładać mu na talerz jedzenie w wielkiej obfitości. Są to jajka w majonezie, liście zielonej sałaty, rzodkiewki, plastry szynki, sałatka warzywna z majonezem, ćwikła, kiszony ogórek i pasztet.

MATKA

(ciepło i gderliwie)

Na pewno nie jadłeś nic od kiedy
cię nie było... Weź sobie jeszcze
chleba, tam leży w koszyczku. Podaj
mu, Krzysiu. Może baleronu ci
włożyć? Śledzia mam bardzo
dobrego...

Słow nie oponuje. Kiwa tylko głową i uśmiecha się uprzejmie. Od razu zaczyna konsumpcję. Wyraźnie dobrze się czuje w roli pieśniczka starej Matki. W tym czasie Brat kończy już swój posiłek. Popija herbatą nie wyjmując ze szklanki łyżeczki, wyciera usta papierową serwetką, odchyła w tył i wygodnie opiera o krzesło. Sięga do kieszeni po papierosa i zapalnik. Przypala sobie papierosa i zaciąga się krzywiąc przy tym twarz i mrużąc oczy przed gryzącym dymem jak niewprawy palacz, który stara się grać twardziela. Słow z niechęcią odsuwa się od niego i znacząco odgania dym dłonią i wydmuchiwanym z ust powietrzem. Brat spogląda na niego z pogardą i nic sobie z tego nie robiąc pali z upodobaniem.

(CONTINUED)

SŁOW
(złośliwie i ironicznie)
Widzę, że jest pan początkującym
albo niedzielnym palaczem.

Brat nie reaguje na zaczepkę. Jakby zapominając w ogóle o istnieniu Słowa wpatruje się to w swoje krótko obcięte paznokcie, to w czubek papierosa, to w dym przed swoją twarzą i nieudolnie próbuje puszczać kółeczka. Do stołu zbliża się Służąca i przynosi Słowowi herbatę. Przez chwilę, pochylając się ze spuszczonej oczami rozdziela Słowa od Brata. (animacja: zbliżenie na Służącą od strony Brata, przez dym z papierosa) Brat uśmiecha się pogardliwie. Ten uśmiech miesza się z nerwowym tikiem. Brat próbuje opanować drżenie ust i powieki przytrzymując je palcem wskazującym, przez co znowu opiera się o stół. Słow zaczyna go dyskretnie obserwować z zaciekawieniem a nawet współczuciem. Brat wyjmując dużą lnianą chustkę w kratę, wydmuchuje nos, potem czyści nią okulary mrużąc przy tym maleńkie i zaczerwienione oczy. Potem składa starannie chustkę na cztery i chowa z powrotem do kieszeni.

BRAT
(znienacka, patrząc wciąż w dym)
Narzeczonej też sobie nie
przypominasz, co?

Słow rozgląda się i oczywiście jego wzrok pada na siedzącą naprzeciw blondynkę o okrągłej i dość ładnej twarzy. Kobieta szepce coś znowu do ucha brodatemu sąsiadowi a on słucha uważnie patrząc przed siebie i przytakuje z rozmysłem. Nie wydają się być zainteresowani rozgrywką między Słowem i Bratem.

SŁOW
(z przekąsem i odcieniem triumfu)
Coś mi się zdaje, że jednak nie
wszyscy z państwa są zgodni co do
rozpoznania we mnie zaginionego
syna.

BRAT
(ripostuje z naganą)
A co ty myślisz, że my tu nie mamy
innych spraw, niż zajmowanie się
tobą?

Słow jest zmieszany, bo rzeczywiście zaczął już sobie wyobrażać, że stał się niekwestionowanym bohaterem wieczoru. W nagłym poczuciu winy jedzenie staje mu w gardle. Krztusi się, zakrywa usta i wypluwa to, co miał w ustach na

(CONTINUED)

talerz. Matka widząc to natychmiast przybiera wyraz troski i przychodzi mu z pomocą. Klepie go w plecy, podsuwa szklankę z herbatą do popicia. Słow, kaszląc wciąż, oponuje machając ręką. Jej nadopiekuńczość staje się dla niego irytująca.

MATKA

(uspokajająco, nie zwracając uwagi na opór Słowa)

Ależ oczywiście, że jesteś najważniejszy. Wstydzilibyś się Krzysiu mówić tak do niego. Zobacz, przestał jeść i zakrztusił się przez ciebie. Jesteś jego starszym bratem i zająłeś poniekąd w naszej rodzinie miejsce ojca, ale nie znaczy to, byś mógł zachowywać się tak bezwzględnie.

Brunet milcząc uśmiecha się do siebie i podkreślając lekceważenie Słowa ogląda znowu z wielkim zainteresowaniem własne paznokcie. Wkłada palec do ust starając się odgryźć zadartą skórę. Słow tymczasem dochodzi do siebie. Jego uwagę przyciąga teraz siedząca naprzeciw para: Narzeczona i brodaty mężczyzna. Dziewczyna wciąż szepce coś na jego ucho on zaś, po wysłuchaniu, kiwa niezmiennie głową i odpowiada jej również szeptem na ucho. Obraz ten przypomina Słowowi scenę spowiedzi i rozgrzeszenia w konfesjonale. W głowie błyska mu nowa myśl.

SŁOW

(do brodacza)

Przepraszam, czy pan nie jest przypadkiem księdzem?

ORGANISTA

(przenosząc melancholijne spojrzenie dużych podkrążonych oczu na Słowa)

Jestem kościelnym organistą.

SŁOW

To świetnie! A może pamięta pan, czy przypadkiem ksiądz nie szukał ostatnio konserwatora do jednej z rzeźb kościelnych? Asystent pewnego sławnego profesora na pewno mówił księdzu o kimś, kto miał przyjechać dzisiaj w tej sprawie.

Organista słuchając go potakuje ze zrozumieniem, co Słow podchwytuje z radością.

(CONTINUED)

ORGANISTA

Owszem, ten człowiek, konserwator
dzieł sztuki, był dziś u księdza
około południa, ale odjechał.
Zażyczył sobie zbyt wysoką cenę i
ksiądz go odprawił.

SŁOW

(rozpaczliwie)

Ależ nie! To niemożliwe! To ja nim
jestem i na pewno dogadamy się co
do ceny!

Pozostaje z niemym wzrokiem skierowanym na Organistę.
Spogląda kolejno z nadzieją na Narzeczoną, Profesora, Matkę,
nawet na Brata, a w końcu też na Służącą stojącą wciąż za
jego plecami. Milczenie przerywa Profesor.

PROFESOR

(z powagą i troską, ale też
surowością)

Lepiej pan nic więcej nie mów,
drogi panie. I tak już pan jesteś
przeegrany.

Pozornie dobrotliwy ton jego głosu nie zmienia faktu, że
słowa te brzmią niczym nieodwołalny wyrok ławy przysięgłych.
Trwa kłopotliwa cisza. Przez umysł Słowa przebiegają
nieposkładane myśli. Czuje, że rzeczywistość zapada mu się
pod nogami. Czy to jakiś żart, dziwny przypadek, koszmarny
jawie? Przez chwilę ma zamiar po prostu wstać i wyjść,
skończyć to, ale siedzi jak przyrośnięty do swego miejsca
przy stole. Czy dlatego, że niedorzeczność sytuacji zdaje mu
się nagle furtką do jakiejś szalonej przygody, możliwości
nagłej, kompletnej zmiany całego życia? Czuje lęk i
ekscytację. Wykonuje niechcący nerwowy, niezgrabny krótki
ruch ręką i strąca ze stołu widelec. Skonfundowany
natychmiast nurkuje pod stół. Tu rozgląda się jakby trafił
do alternatywnego świata. W mroku widzi buty i nogi
wszystkich siedzących. Widelec leży dalej niż się
spodziewał. Wchodzi więc cały pod stół, jak dziecko i
korzystając z tej dziwnej chwili wolności, kiedy zniknął
wszystkim z oczu zaczyna przyglądać się tym nogom i wdychać
specyficzny zapach, jaki tutaj panuje. Widzi mokasyny Brata
nerwowo ruszającego piętą, stopy Matki w filcowych kapciach,
wypolerowane czarne półbuty Profesora. Dłoń organisty
głaszcze kolano Narzeczonej i wsuwa się między jej uda. Wtem
pod stół spada jeszcze jeden widelec, od strony Profesora,
potem kolejne: Matki, Brata, Narzeczonej i Organisty. Twarze
ich wszystkich wyłaniają się kolejno wokół Słowa wpatrując w
niego badawczo. Nagle dobiega go głos Brata i nie jest pewne
skąd pochodzi, ale raczej z góry, z ponad stołu.

(CONTINUED)

BRAT

No więc jak? Przyznajesz się
wreszcie?

Słow wyskakuje spod stołu jak korek z butelki szampana uderzając po drodze głową o kant blatu. Szybko rozgląda się. Wszyscy siedzą spokojnie na swoich miejscach, tylko Profesor zagląda wciąż pod stół jakby istotnie coś tam zgubił lub jako jedyny nie zdążył się wyprostować.

SŁOW

(wyrzuca z siebie niczym
przestraszone dziecko swą
winę)

Tak! Tak, to ja... to ja... Jestem
twoim bratem.

Jego deklaracja powoduje uśmiechy ulgi na twarzach wszystkich domowników. Powracają do przerwanych rozmów i kończenia kolacji. Padają uprzejme słowa wzajemnej zachęty do jedzenia i pochwały dotyczące potraw. Osoba Słowa znika zupełnie z centrum uwagi, jakby został w jednej chwili wchłonięty przez rodzinę, jakby cofnął się czas a Słow nigdy stąd nie wychodził. Ktoś w ogólnym gwarze rzuca pomysł, żeby Organista zagrał coś i zaśpiewał. Zyskuje to natychmiast ogólną aprobatę.

MATKA

Panie Wojtku, niech pan coś nam
zagra, bardzo prosimy...

PROFESOR

No, drogi panie, niechże pan się
nie da prosić. Wszyscy przecież
wiemy, że jest pan znakomity.

NARZECZONA

(błagalnie)

Och tak! Zagraj nam i zaśpiewaj tą
własną pieśń ze słowami po
niemiecku.

Wreszcie Organista ukrywając satysfakcję pod skromnym uśmiechem przesiada się do starego czarnego pianina stojącego we wnęce pod schodami prowadzącymi na piętro. Pozostali goście odwracają w jego stronę krzesła. Słow również. Wszyscy zastygają w oczekiwaniu na koncert. Organista gra nieźle i śpiewa niemiecką pieśń dobrze ustawionym wysokim barytonem. Muzyka wprowadza słuchaczy niemal w natchnienie. Matka ma łzy w oczach, Narzeczona tonie w zachwycie, Profesor lekko się uśmiecha i kiwa głową do taktu. Nawet Brat daje się wciągnąć w nastrój bębniąc lekko palcem w blat stołu i poświstując. Jego twarz staje

(CONTINUED)

się wręcz pogodna. Groźne brwi się unoszą. Pieśń wydaje się budzić we wszystkich słuchaczach dobre wspomnienia i wzruszać ich. Słow także doznaje jakiejś nieokreślonej nostalgii. Można by pomyśleć, że jest prawdziwym członkiem tej rodziny i nigdy jej nie opuszczał.

PROFESOR

(głośnym szeptem do ucha
Matki)

Może to zabawne, pani Mario, ale,
nie uwierzy pani, że wszystkich dań
dzisiaj najbardziej smakowała mi
kaszanka! Naprawdę znakomita...

Matka nie odwracając rozanielonych oczu od Organisty potakuje w milczeniu i kładzie palec na ustach. Słow dobrze się ma w tej ciepłej, rodzinnej atmosferze. (animacja: panorama po ścianie salonu, obrazy, zbroja stojąca w rogu przy schodach) Rozluźniony rozpiera się wygodnie na krześle wyjadając ostatnie okruszki, które pozostały na jego talerzu i sięgając po jeszcze jeden plasterek szynki. Podobnie jak Brat stuka palcem o stół i nuci pod nosem. Lekko kołysze do taktu głową. Służąca przygląda mu się stojąc niezauważona w mroku korytarza.

7. PLENER. OGRÓD WOKÓŁ DOMU. NOC.

Oświetlone okno domu, zza którego dochodzą dźwięki muzyki i śpiewu. W lekkim blasku płynącym od okna widać jabłka pośród gałęzi drzew i gęste krzewy pokryte kiściami porzeczek i agrestu. W głębi ogrodu, połyskują w mroku szybki wyniesionego tu kiedyś kredensu, w jego wnętrzu widać jakieś stare zabawki, obok wyrzucone przed laty, zbutwiałe krzesła, mała omszała ławeczka.

8. WNĘTRZE SALONU. KILKA MINUT PÓŹNIEJ.

Goście żegnają się przed wyjściem. Profesor całuje Matkę i Narzeczoną w rękę.

Wychodzi pierwszy. Służąca podaje mu płaszcz. On dziękuje jej z gracją.

MATKA

(do Słowa)

Chyba odprowadzisz narzeczoną,
synu...

SŁOW

Oczywiście.

MATKA

(żartobliwie grożąc mu palcem,
a potem głaszcząc go po
policzku)

Tylko nie zgub się gdzieś tam znowu
po drodze...

Słow śmieje się. Brat rzuca mu groźne spojrzenie. Powoli
przemieszczają się na korytarz i dalej do wyjścia. Służąca
przynosi zapaloną świecę.

AKT II

9. PLENER. NOC. WIEŚ.

Słow i Narzeczona idą obok siebie, nie dotykają się, nie
rozmawiają. Dziewczyna świetnie zna drogę, idzie szybko,
Słow ledwie nadąża za nią, co i raz niespokojnie ogląda się
za siebie, żeby zapamiętać drogę. Idą na skróty, odgłos ich
kroków mówi o zmieniającym się podłożu - to asfalt, to żwir,
to trawa. Przechodzą czasem pomiędzy krzewami, przecinają
cudze podwórka, nieraz gdzieś zaszczeka pies, ale zaraz
cichnie, jakby poznawał swego. Idą wzdłuż parkanów i
żywopłotów. Skręcają to w lewo, to w prawo. Słow oglądając
się co i raz za siebie, ma od pewnego czasu wrażenie, że
ktoś podąża ukradkiem za nimi. Wreszcie dziewczyna
zatrzymuje się przed dużym i dość obskurnym domostwem.

NARZECZONA

Tu mieszkam.

Jej wzrok zdaje się mówić: „Odegrałeś już swoją szopkę, a
teraz zmiataj”.

SŁOW

(z fałszywą czułością)
Dobranoc kochana.

Próbuje ją nieudolnie pocałować ale dziewczyna szybko
odwraca się i jego usta trafiają w jej ucho.

SŁOW

Och, przepraszam...

NARZECZONA

To nic, nic nie szkodzi...
naprawdę. No idź już!

Uśmiecha się niespodziewanie ciepło, jakby pocieszająco i
ruchem głowy odsyła go. Słow też się uśmiecha, właściwie z
ulgą, że to ona podejmuje decyzję i że nic nie może być

(CONTINUED)

między nimi. Robi krok w tył a potem obrót na pięcie i odchodzi z rękami w kieszeniach. Raz jeszcze spogląda za siebie. Dziewczyna patrzy za nim, jakby chciała mieć pewność, że odejdzie. Słow zauważa teraz wyraźnie, że ktoś, kto szedł za nimi chce pozostać niezauważony i naiwnie chowa się za drzewem. Rozpoznaje charakterystyczną sylwetkę Organisty. Rozbawiony przechyla się to w lewo to w prawo a tamten kryje się niczym chłopiec bawiący w Indian. Wreszcie, gdy Słow mija drzewo, za którym stał Organista, ten wybiega i nie zachowując już żadnych pozorów pędzi w stronę, gdzie pozostała Narzeczona. Słow kwituje to wzruszeniem ramion i rusza w powrotną drogę. Prędko jednak okazuje się, że nie umie jej odtworzyć, źle wybrał na kilku rozwidleniach i zgubił się. Przedziera się przez krzewy, przechodzi przez podwórka, ale są to zupełnie nieznane mu miejsca, nie przechodzili tędy na pewno z Narzeczoną. Zaczyna czuć niepokój tracąc orientację i kontrolę nad swoją sytuacją. Zupełnie nie wie gdzie jest. (animacja: przesuwające się faktury ścian, ogrodzenia, żywopłoty - subiekty Słowa) Słow wychodzi wreszcie na ulicę, gdzie domy tworzą zwartą zabudowę, jak w małym pruskim miasteczku. Gdzieś tam palą się latarnie. Ulica jest brukowana a zza korony dużego drzewa wylania się niespodziewanie iglica kościoła. Wydaje się jakby trafił do zupełnie innej miejscowości pochodzącej z innego porządku architektonicznego. Chmury odsłaniają księżyc w pełni. (animacja: księżyc w pełni wychodzi zza chmury w tle wieży kościelnej) Miasteczko pogrążone jest we śnie. Słow zbliża się do kościoła, naciska ciężką kutą klamkę w głównych wrotach - zamknięte. Ma chęć okrążyć kościół ale zauważa, że palą się światła w oknach niskiego murowanego budynku nieopodal, prawdopodobnie plebanii. Zmienia więc zamiar i rusza w jej stronę. Plebanię otacza ogrodzenie, furтка jest zamknięta. Słow bez wahania wspina się, by ją przeskoczyć. Jest na szczycie gdy nagle wybiega z ciemności pies, wielki nowofundland. Za późno już by się cofnąć, Słow traci równowagę i skacze wprost psu na głowę. Ten w ostatniej chwili uskakuje w bok po czym zachęcająco merdając ogonem prowadzi Słowa w stronę drzwi do plebanii. Te, o dziwo, nie są zamknięte na klucz.

10. WNEȦRZE PLEBANII. NOC.

Słow otwiera drzwi, pies zadowolony pierwszy wbiega do wnętrza i czeka na otwarcie kolejnych drzwi - z sieni do pokoju. Słow ośmielony przez psa wchodzi dalej. W dużym pokoju o dziwnie niskim suficie pali się światło żyrandola. Słychać głośne chrapanie. Na samym środku stoi duża sofa naprzeciw telewizora. Na ekranie migocze charakterystyczny obraz nocnego braku emisji. Na sofie leży w ubraniu, na wznak, tęgi, rumiany mężczyzna z siwą krótką brodą (KSIĄDZ). Uśmiechnięty niewinnie śpi lekko pogwizdując. Donośne

(CONTINUED)

chrapanie dochodzi zza przepierzenia w głębi izby, najwidoczniej śpi tam ktoś jeszcze. Słow zatrzymuje się o dwa metry od Księdza i niepewnie rozgląda wokół. Pies obwąchał parę kątów, polizał rękę śpiącego i gdzieś zniknął. Mężczyzna na sofie porusza się lekko dając do zrozumienia, że usłyszał wejście Słowa, nie otwiera jednak wciąż oczu.

SŁOW

Przepraszam, ale chyba zgubiłem się. Czy może mógłbym tutaj pożyczyć rower?

KSIĄDZ

(bardzo uprzejmie, nie otwierając wciąż oczu)
Bardzo mi przykro, chętnie bym pożyczył, ale niestety nie mam roweru, naprawdę...

Uśmiecha się przepraszająco po czym nie zmieniając pozycji wsuwa rękę do kieszeni spodni, szuka czegoś długo i wreszcie wyciąga wielką zmiętą kraciatą chustkę do nosa. Wydmuchuje nos, wyciera go i równie mozolnie wpycha chustkę z powrotem do kieszeni. Młascze zadowolony i poprawia się na sofie, jakby zamierzał zapaść z powrotem w drzemkę. Słow przestępuje z nogi na nogę.

SŁOW

(ociągając się)
Jestem konserwatorem... miałem dzisiaj przyjechać... może ksiądz sobie przypomina...

KSIĄDZ

(otwierając oczy i obracając się gwałtownie rozbudzony w stronę Słowa)
Ach, to pan! I co? Wrócił pan! Namyslił się pan jednak nad ceną? Niech się pan nie obrazi ale... zdrzemnąłem się trochę... Napije się pan kawy albo herbaty?

SŁOW

(zakłopotany, ale też szczęśliwy)
Wie pan...jeśli można, jest już dość późno...ale, jeśli pan pozwoli, troszeczkę kawy i troszeczkę herbaty...

KSIĄDZ

(niezmiennie miłym głosem,
wciąż leżąc na sofie)

To niech się pan łaskawie obsłuży.
Tam stoją termosy. A i mnie pan
należy filiżaneczkę kawy, jeśli
łaska.

Ksiądz leży wygodnie, przyzwyczajony najwyraźniej do bycia obsługiwanym i wykonuje tylko niezbędne ruchy, by wskazać Słowowi, gdzie znajdują się termosy z napojami. Uśmiecha się rozbrajająco, trudno było by mu odmówić. Słow idzie we wskazany kąt i nalewa trzy filiżanki z termosów wachając przedtem, co w nich jest. Niesie ostrożnie pełno nalaną filiżankę w stronę Księdza.

SŁOW

(uśmiechając się z dumą jak
dziecko)

Znalazłem we wsi nocleg.

KSIĄDZ

A to świetnie, to świetnie... Czy
może mi pan podać kawę tutaj?
Ciężko się ruszyć z kanapy... Cały
dzień na nogach... To na ambonie,
to przy ołtarzu... A poza
tym pełno chodzenia. Co rano trzeba
wstawać przed szóstą... Żeby pan
wiedział jak mi się nie chce,
zwłaszcza zimą... Ale co zrobić...
na szóstą największa frekwencja.
Ciężko wstawać, wszystko boli...
Ale, jak mówią, w moim wieku jak
się chłop rano budzi i nic go nie
boli to znaczy, że umarł, he, he...
Niech no pan sobie coś przekąsi i
gdzieś się tu zdrzemnie...

Ksiądz mówi to wszystko bardziej do siebie niż do Słowa. Ziewa. Przemyka znów oczy, nawet nie spogląda na kawę, którą Słow postawił mu na małym stoliku obok sofy. Chwilę potem już śpi. Słow rozgląda się. Zauważa wąską pryzkę pod ścianą nieopodal termosów. Nie namyślając się długo kładzie się w ubraniu wprost na przykrytym szorstką, pasiastą narzutą legowisku. Ściąga tylko buty. Spogląda jeszcze w stronę przepierzenia, które kołysze się lekko w rytm oddechu kogoś, z kogo wydobywa się przeciągłe i paskudne chrapanie. Nie gasi światła, wyciąga się sprawdzając długość łóżka a potem podkurcza nogi, odwraca twarzą do ściany i prawie natychmiast zasypia. Do izby wchodzi pies, obwąchuje buty Słowa, patrzy w jego stronę, wreszcie kładzie się obok łóżka z oddaniem, niby przy swoim panu i też zasypia.

11. WNEȚRZE PLEBANII. PORANEK.

Słow budzi się, słychać z podwórka pianie koguta. (animacja: piejący kogut na płocie) Słow podnosi się na łokciu. Pokój rozświećla jasny poranek wpadając przez białe koronkowe firanki. Słow przeciąga się z rozkoszą na łóżku (referencja: Hutter przeciąga się rozkosznie po nocy spędzonej w gospodzie przed odjazdem do zamku Orloka w filmie „Nosferatu - symfonia grozy” reż. Wilhelm Murnau, Niemcy 1922). Nasłuchuje przez chwilę, bo wydaje mu się, że coś w pobliżu szeleści i skrzypi. Potem beztrósko prostuje się i rześko wstaje. Znow się przeciąga. Jest ciągle jeszcze nieco zaspany, nie dba o to, że koszula wylazła mu ze spodni a włosy z jednej strony sterczą nastroszone a z drugiej przylegają płasko do czaszki. Rozgląda się za ubikacją. Wstrząsa się przestraszony nagłym nieprzyjemnym głosem tuż obok.

GOSPODYNIA

Szukasz pan przeweta?

Starucha stoi w przepierzeniu. Przypatruje się Słowowi nieufnie. Jest niska i pokraczna, rzadkie, siwe włosy ma związane w węzeł niski na karku. Twarz ma podobną do portretu matki z rysunku Albrechta Dürera, ale brzydszą. Ubrana jest w kilka nałożonych na siebie swetrów i spódnic długich aż do ziemi, przepasanych kuchennym fartuchem. Ramiona wokół szyi okrywa wyliniałe królicze lub lisie (a może psie) futerko. Na zgiętych, krzywych nogach o wielkich stopach nosi rozdeptane, rozpadające się kapcie na twardych podszewkach. Chodząc szura nimi, stuka i człapie hałaśliwie. Na gorącej kuchni parujący imbryk. (animacja: zbliżenie imbryka).

GOSPODYNIA

(dobitnie)

Jest w podwórzu. Klucz mam ja!

12. WNEȚRZE KŁOZETU. PORANEK C.D.

Słow siedzi ze spuszczonej spodniami na sedesie. Przed nim spękana ściana z resztkami niebieskiej farby olejnej. Drzwi do kabiny nie mają szyby. Słow gapi się w ścianę przez otwór po szybie jak przez okienko. (animacja: panorama po odrapanej ścianie w klozecie).

13. WNEȚRZE PLEBANII. KILKA MINUT PÓŹNIEJ.

Słow wchodzi do izby. Gospodyni bez słowa pokazuje mu zakrzywionym palcem miejsce przy stole. Słow posłusznie siada. Stara drecze za przepierzenie. Jest uderzająco niska i zgarbiona. Porusza się jednak dziarsko, wręcz gwałtownymi ruchami, mlaszcze przy tym nieustannie, jakby międliła coś w ustach. Obserwuje Słowa z nieufnością małymi przymrużonymi oczami. Łokcie trzyma wiecznie podkurczone. Jej dłonie, są duże, żyłaste, spracowane. Znika za przepierzeniem i po chwili wynurza się niosąc blaszaną tackę a na niej talerz, sztucce, pokrojony chleb, masło i jajko na miękko w kieliszku. Stawia tacę z brzękiem na stole przed nosem Słowa. Gdy ten zabiera się za smarowanie chleba masłem stara wraca jeszcze raz do kuchni i przynosi szklankę z herbatą, wsypuje dwie łyżeczki cukru (cukierniczka stoi na stole), miesza i odchodzi oblizując łyżkę. (animacja: zbliżenie jajka w kieliszku) Słow zaczyna jeść zerkając w stronę Gospodyni, która znów przypatruje mu się wychylona zza swojej kotarki. Słow zajada z apetytem. Jedzenie, choć skromne, smakuje mu o dziwo lepiej niż wykwintne dania wczoraj na kolację. Trwa nieznośne i nieco komiczne milczenie, kiedy tak przypatrują się sobie wzajemnie. Słow ma poczucie, że stara traktuje z niechęcią i podejrzliwością, jako nie dość że obcego to i dziwaczного gościa na plebanii.

SŁOW
(żeby coś powiedzieć)
Która godzina?

GOSPODYNI
(cofając się głębiej za
przepierzenie, jak nieufny
dzieciak)
Ksiądz zaraz wróci po odprawieniu
mszy. Ja tam nic nie wiem.

Słow rezygnuje z prób dalszej rozmowy z Gospodynią. Dalej zajada z apetytem a ona przygląda mu się tak jak wcześniej. Chwilę później słyhać wesołe szczekanie psa i kroki w sieni. Wchodzi Ksiądz. Jest w sutannie.

KSIĄDZ
(od progu, wesoło)
Ho, ho! Śniadanie! Smacznego! A ja
już dwie msze mam za sobą.
(siada ciężko na sofie i
opiera się)
Och, jak miło usiąść!
(rozpiną sutannę pod szyją i
koloratkę)
Napilbym się też kapeńkę. Nie ma
nic lepszego niż gorąca herbata.

(CONTINUED)

W tym czasie Gospodyni przynosi mu kapcie i kładzie obok nóg. Ksiądz sam próbuje ściągnąć buty jeden o drugi ale Gospodyni nie pozwala mu na to. Stękając i mamrocząc „zara, zara...” rozwiązuje sznurowadła, zdejmując księżowskie czarne obuwie i zakłada Księdzu kapcie. Prostuje się z wysiłkiem i rozmasowuje krzyż. Ksiądz uważa za oczywiste, że staruszka świadczy mu tę usługę. Wzdychając błogo rozciera obiema rękami twarz. Nawet nie spogląda na Gospodynię. Ta bierze buty i odnosi do sieni. Po drodze zatrzymuje się, odwraca i pyta.

GOSPODYNI

(usłużnie i troskliwie, ale
trochę po wojskowemu)
Mocniejszej czy słabszej mam
księdzu zrobić?

KSIĄDZ

Wszystko jedno, aby była mokra...

Masuje i drapie sobie łydki i kolana sapiąc przy tym, stękając i kłapiąc zębami jak pies, który stara się pozbyć pcheł ze swojej sierści. Stara wraca w stronę kuchni i przystaje na chwilę obok Księdza.

GOSPODYNI

(tonem nagany)
Powinien się ksiądz oszczędzać
odkąd opanowały księdza żyłaki. I
nie drapać się! A nabożeństwa
odprawiać siedząc na krześle.
(starucha rusza do kuchni i
już zza przepierzenia
kontynuuje)
Herbatę dam słabszą, bo lepsza na
żyły.

KSIĄDZ

Wyobraźcie sobie, że wrócił podobno
zza granicy młodszy syn Kitusów.
Ten, co to niby zaginął bez
wieści, niby umarł...No a teraz się
nagle objawił. Tak baby gadają. Po
mszy na szóstą już całe zbiegowisko
bab było pod chałupą Kitusów.

GOSPODYNI

(zrzędząc pod nosem)
Wielkie tam mecyje...

KSIĄDZ

Ponoć był cały ten czas w
Szwajcarii, na leczeniu...

GOSPODYNI

(tym samym tonem)

W dupie był, gównu widział...

KSIĄDZ

(nie zwracając na nią uwagi)

A wrócił bez grosza i mówią, że ma
coś z głową nie tak. Pamięć
stracił.

SŁOW

(udając obojętność)

Znał go ksiądz?

KSIĄDZ

Czy znałem? Pytanie...A jakże,
znałem go i to bardzo dobrze.
Chodził do mnie najspierw na
religię, z dziesięć lat albo
więcej... Do mszy służył...
Pamiętam go jak dziś. To był dobry,
religijny chłopak. No, ale to już
stare dzieje...

SŁOW

(pozornie bardzo skupiony nad
wygrzebywaniem jajka ze
skorupki)A czy... czy nie był przypadkiem do
mnie podobny?

Zapada cisza. Ksiądz i Gospodyni wymieniają ze sobą spojrzenia i nagle oboje wybuchają śmiechem, a raczej chichotem, starając się go bezskutecznie powstrzymać zakrywając usta rękami. Ksiądz czerwienieje na twarzy a stara aż przysiadła na taborecie i rechocząc bije się rękami w kolana i ociera łzy fartuchem. Słow patrzy to na nią to na księdza nie rozumiejąc, o co chodzi. W końcu ich wesołość zaczyna się udzielać i jemu. Czuje jakby ulgę, że jednak nie zwariował, nie jest żadnym synem, który powrócił. Śmieje się zapominając o wszystkim, co się tu wydarzyło od wczoraj. Tymczasem Ksiądz i Gospodyni przestają się śmiać i obserwują go z troską. W końcu i on opamiętuje się. Zapada kłopotliwa cisza. Słow tuszując ją i czując, że to może właściwy moment zwraca się do Księdza.

SŁOW

To co z rzeźbą do konserwacji?

Ksiądz patrzy na niego przez chwilę jakby nie rozumiał pytania, jakby czekał, że Słow sam sobie na nie odpowie. Wreszcie rzuca odpowiedź, która brzmi niczym żart lub prowokacja.

(CONTINUED)

KSIĄDZ

Rzeźba? Rzeźba nie zając, możemy z nią poczekać. Nawet i do zimy.

Zapada na moment zupełna cisza. Obydwaj patrzą na siebie jak zamrożeni. (animacja: krajobraz wsi, drzewa, pełnia lata - zamienia się w zimowy pejzaż).

14. WNĘTRZE PLEBANII. DZIEŃ. ZIMA. CHWILĘ PÓŹNIEJ.

SŁOW

No to wychodzę.

Idzie do sieni, zakłada grubą kurtkę i czapkę. Wzuwa ciężkie zimowe buciory.

SŁOW

(od progu głośno w stronę Gospodyni)

Nie trzeba nałupać drzewa albo węgla przynieść?

GOSPODYNI

(nieprzyjemnym tonem znad kuchni, gdzie pali się ogień)

Na razie mam wszystko. Może jutro będę potrzebować. A teraz śnieg można odwalić.

Stara wali garnkami, pokrywkami, zgrzyta fajerką i pogrzebaczem zaglądając do ognia. W jej tle okno, za którym sypie śnieg. (animacja: widok za oknem, padający śnieg) Słow chwilę odczekuje, po czym naciąga mocniej czapkę, zapina kurtkę pod szyję i wychodzi na dwór.

15. PLENER. PRZED PLEBANIĄ. CHWILĘ PÓŹNIEJ.

Wokół biało. Słow bierze szufłę do odśnieżania i odgarnia śnieg ze ścieżki. Obserwuje go z budy pies. Słow odstawia szufłę, otwiera furtkę i wychodzi na drogę. Rozgląda się i rusza przed siebie bez wyraźnego celu. Brnie wolno przez koleiny wyjeżdżone w śniegu. Czasem ślizga się, czasem potyka, lub wpada w głębszy śnieg. Idzie samotnie pustą uliczką. Ma wrażenie jakby ludzie ukryli się przed nim. Wiatr każe mu skulić się i schować głowę w kołnierzu. To przystaje to znów rusza, jakby szedł bez celu a potem nagle już wiedział dokąd ma iść. Słychać skrzypienie jego butów. Tą wędrówkę Słowa śledzą ukradkiem oczy mieszkańców wioski. Ich twarze przywarły do zaparowanych szyb małych okien w mrocznych izbach domów. (animacja: powtórzenie ujęcia twarzy wieśniaków za zaparowanymi szybami chałup)

(CONTINUED)

Słow niejasno przeczuwa, że jest obserwowany i wzmaga to jego poczucie obcości w Ederly. Idzie niepewnie, co i raz ogląda się za siebie. Czasem zaszczeka pies lub zakracze wrona. Ktoś w głębi podwórka zaciął batem konia. Ktoś głośno kichnął za rogiem. Słow wzdryga się przestraszony. Zbliża się południe. Słychać kościelne dzwony. Dzień jest pochmurny. Z kominów chałup snują się dymy. Zza siatki przygląda się smutno Słowowi jakiś mały piesek. Pruszy śnieg wirując w niewielkim wietrze.

AKT III

16. WNETRZE. DOM KITUSÓW. DZIEŃ. LATO.

Mrok wąskiego korytarza starej drewnianej willi. Splecione ze sobą miłośnicie dwie sylwetki: Służącej i Słowa. Gwałtowne i czułe pocałunki i pieśzczoły. To dziewczyna jest aktywna. Słow raczej pozwala się całować, niewątpliwie będąc tym zachwycony.

(Służąca pociąga Słowa gwałtownie do siebie, osuwa się na kolana, potem umyka, Słow nie nadąża za jej zmiennością nastrojów i kamera nie nadąża za prędką zmianą miejsca kochanków narzucaną przez Służącą, ruchy kamery stają się szarpane, skokowe wchodząc w specyficzny dysonans z zachowaniem bohaterów).

SŁUŻĄCA

(namiętym szeptem)

Kochany! Wreszcie
jesteś...Wróciłeś, wróciłeś!
Kochany mój! Gdybyś wiedział jak
bardzo czekałam na ciebie, jak
długo...Chodźmy szybko do mnie.
Nikogo nie ma w domu. To znaczy -
jest pani Maria, ale chyba zasnęła.

Uchyła drzwi za swoimi plecami, wąskie i niskie, niczym wejście do komórki. Wślizguje się szybko a Słow za nią, pochylając głowę, żeby nie uderzyć głową o futrynę.

17. WNETRZE POKOJU SŁUŻĄCEJ.

Pokój jest mały i wąski, zapełniony mnóstwem rzeczy, cienisty. Światło przesącza się szczeliną między zaciągniętymi storami. Po lewej stronie małe biurko, całe założone książkami, papierami, częściami damskich ubrań i innymi drobiazgami. Obok wciśnięta w róg wiolonczela, przy niej regał pełen książek ale też z mnóstwem innych przedmiotów na półkach, np. słoików z konfiturami. Kilka wzorzystych sukienek na zaczepionych o półki regału

(CONTINUED)

wieszakach. Pod prawą ścianą mała kozetka służąca za tymczasowy skład ubrań. Dziewczyna pociąga Słowa za sobą i zamyka szybko drzwi. Zaczyna pośpiesznie rozbierać na przemian to jego, to siebie. Szarpie go za ubranie, ciągnąc ku sobie, przewraca go na podłogę, przygniata mu pierś kolanem, potem podrywa do góry, popycha na biurko, staje okragiem nad jego kolanem i masturbuje się o nie. Słow jest oszołomiony. Nie nadaża za nią. (kamera j.w. też nie nadaża) Służąca gorączkowo rozgląda się i stając do Słowa tyłem opiera się o krzesło, rozpinając Słowowi spodnie i sama podnosi sukienkę. Zaczynają się kochać ale nie jest im wygodnie i dziewczyna robi więcej miejsca na biurku odsuwając książki. Siada na blacie, przyciąga Słowa do siebie i obejmuje go udami i łydkami. Kochają się gwałtownie, szybko łapiąc powietrze, Słow w zachwycie całuje jej szyję i ramiona. Jednocześnie spogląda co i raz na otaczające go sprzęty odczytując tytuły na grzbietach książek, napisy na słoikach z przetworami itp. (animacja: krótkie niemal stroboskopowe scenki z zatłoczonej nocnej ulicy wielkiego miasta, rozmazane światła samochodów, latarni i reklam, przebiegające ludzkie sylwetki, wnętrze taksówki, widok miasta przez okno, profile pasażerów, pary całującej się namiętnie, wnętrze wagonu metra, pędząca czerń za oknem, kobieta na kolanach mężczyzny, masturbuje się nimi, biegnie policjant) Po podłodze sunie cienka strużka światła i dochodzi do błyszczącego łebka gwoźdźca. Światło przygasa, jakby słońce zaszło za chmurę. Kochankowie zastygają w bezruchu osiagając kulminację. Słychać głębokie oddechy. Słow lekko odepchnięty przez Służącą odsuwa się. Ona schodzi z biurka, szybko poprawia ubranie i włosy. On jest bardziej oszołomiony. Nic nie mówią. Dziewczyna uśmiecha się patrząc na Słowa miłośnie ale też jakby z nutą pobłażliwości.

SŁUŻĄCA

Czekałam na tą chwilę dość długo.
Możesz mieć mnie codziennie.
Nawet... jeśli ożenisz się z tą
kukłą. Ale teraz idź już, lepiej,
żeby nikt cię tu nie zobaczył.
Albo nie! Czekaaj, ja wyjdę
pierwsza, ty posiedź tu jeszcze
chwilę.

Nasłuchuje przez chwilę przy drzwiach, odwraca się do Słowa przesyłając mu całusa, po czym wychodzi spokojnie na korytarz. Zamyka bezszelestnie drzwi za sobą.

18. WNEȦRZE POKOJU SŁUŹĄCEJ.

Słow zostaje sam. Wszystko odbyło się tak szybko i tak nagle, że przez długą chwilę stoi nieruchomo, jak zaczarowany wpatrując się w drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna. Potem przygląda się swoim palcom i wacha je. Uśmiechając się przyryka oczy. Rozgląda się jakby teraz dopiero mógł nadażyć za faktami - gdzie jest i co się tu stało. Jego wzrok przebiega po tytułach książek i nalepkach na słoikach przynosząc mimowolnie wspomnienie chwil, które właśnie minęły. Strużka światła, budzik cykający na parapecie, anielskie włosy choinkowe zebrane w pęk jako ozdoba, zwisające w słońcu i tworzące nieprawdopodobne, migoczące odbłaski na podłodze... Cienka wskazówka budzika dochodzi właśnie do równej godziny trzynastej. Słow zbliża się do drzwi. Jego dłoń zawisa nad klamką. Nasłuchuje, bo wydaje mu się, że słyszy jakieś głosy. Nie wie skąd pochodzą, może spod podłogi. Odróżnia skrzeczący głos bardzo starej osoby, gderliwy i kapryśny i drugi mający w sobie coś z uporczywej i bezwzględnej perswazji. Emocje, jakie im towarzyszą narastają, dochodzi do gwałtownego krzyku, wszystko to jest bardzo dalekie i stłumione. Wreszcie następuje kilka ciężkich uderzeń i jęk a potem cisza. Słow jest tym poruszony ale bynajmniej nie przeraża go ta scena, prędzej bawi, jakby podsłuchiwał komiczną sprzeczkę albo głośno nastawiony telewizor. Nasłuchując zastygł w bezruchu a teraz przystawia ucho do drzwi i po chwili otwiera, wychyla się na korytarz, wychodzi. Nikt go nie zauważył. W całym domu panuje cisza. Wtem słyszy, że ktoś wchodzi właśnie na werandę. Cofa się z powrotem do pokoju słuźącej i przyryka drzwi. Chwilę później widzi przez szparkę postać matki przechodzącej korytarzem w stronę salonu. Matka ma na głowie słomkowy kapelusz od słońca i okulary słoneczne, ubrana jest w kostium plażowy. Słow odczeka aż jej kroki ucichną i wymyka się ponownie na korytarz. Nie ma tu już nikogo. Idąc w stronę salonu zauważa w podłodze klapę z żelaznym kółkiem, zejście do piwnicy. Przechodzi po niej. Idąc w stronę salonu mija wejście do kuchni, zagląda i widząc ciasto w blaszce bez skrępowania odkrawa sobie kawałek. Jedząc idzie dalej.

19. WNEȦRZE. KORYTARZ I SALON KITUSÓW.

Słow mija lustro, dochodzi do jadalni. Wydaje mu się, że nikogo tu nie spotka, dopiero po chwili dostrzega dym z papierosa odłożonego na małą, blaszaną popielniczkę. Wpycha szybko ciasto do ust. Rozgląda się w poszukiwaniu Matki. Robi jeszcze dwa kroki w głąb salonu. Pociąga nosem jakby dziwił go unoszący się zapach. Okrągły stół pośrodku pokoju nakryty jest białą haftowaną serwetą. Za oknem widok przez firanki na cienisty, gęsto zarośnięty ogród. Z pomiędzy liści wpadają do salonu wąskie smugi światła. Rozjaśniają

(CONTINUED)

smużkę papierosowego dymu. Słow słyszy jakiś szelest i jakby stęknienie zza stołu wciąż jednak nikogo nie widząc.

MATKA

No, czego chcesz?

Wreszcie Słow ze zdumieniem zauważa Matkę siedzącą jakoś nienaturalnie nisko na podłodze, za stołem. Staruszka ćwiczy jogę na małym dywaniku, jest właśnie w pozycji pełnego szpagatu. Słow stara się przełknąć gwałtownie ciasto. Oblizuje szybko palce.

SŁOW

(wciąż wężąc i udając, że nic
go ta sytuacja nie dziwi)

Co to za dziwny zapach? Grzyby?
(uśmiecha się głupio)

MATKA

(nie patrząc na niego)

Tak synku, grzyby.

Słow pociąga znów nosem a Matka widząc, że popiół na papierosie jest już zbyt długi strzepuje go na popielniczkę. Odwraca głowę do Słowa. Na jej twarzy wyraz z troskaniem. Gasi papierosa lekko zgniatając go o popielniczkę i wraca do ćwiczeń zaplatając nogi i ramiona w sposób trudny do uwierzenia.

SŁOW

(przymilnie z fałszywym
uśmiechem)

Spałaś Mamo?

MATKA

(po chwili, wchodząc lepiej w
pozycję, nieco zirytowana
pytaniem)

Czy spałam? A po cóż miałabym spać
o tej porze? Byłam trochę w ogródku
a teraz siedzę tu i się martwię.

SŁOW

O co?

MATKA

(urazona i zdziwiona jego
tępotą, podnosi głos)

Jak to o co? Jak to - o co się
martwię? O was się martwię, jak
każda matka. Stale się o was
martwię.

(CONTINUED)

SŁOW

(durno, uparcie)

No ale teraz o co?

MATKA

(tłumaczając jak dziecku)

Znikasz z domu na prawie
dwadzieścia lat, tak? My
czekamy, szukamy, pytamy...
Myślisz, że było to przyjemne?
Wiesz co tu się działo? Pewnie nie
wiesz. Szukała cię cała miejscowa
policja, sprowadzili nawet psy.
Podali o tobie w telewizji.
Okropność! Jaki wstyd! Tak ci było
źle w domu?

(Słow spuszcza wzrok
skruszony)

W końcu Krzyś kazał urządzić ci
pogrzeb, żeby to jakoś ukrócić.
A nie była to prosta sprawa...

(staruszka patrzy na Słowa z
wyrzutem i bierze głęboki
wdech)

Wyobrażasz sobie chyba? I tak nie
jest nam łatwo we wsi...przecież
nasza rodzina nie pochodzi
stąd...No, ale udało się to jakoś
załatwić, chociaż ludzie do dzisiaj
jeszcze gadają...

(robi pauzę)

A teraz nagle wracasz, tak? I już
plotą, żeś tam był gdzieś w
Szwajcarii na leczeniu... Ho, ho!
Nie bój się, ludzie wszystko
wiedzą!

SŁOW

Przecież to nieprawda, naczytali
się pewnie książek i...

MATKA

(ostro, przerywa mu)

Czytali, czy nie czytali...! Kto
tam wie, co prawda, a co
nieprawda...?

(milknie i spogląda na Słowa z
troską w oczach, rozplata się,
pozostaje jednak wciąż na
podłodze)

Ale tak naprawdę, to się
najbardziej martwię o Krzysia.

(sięga po okulary leżące na
stole, zakłada je i patrzy

(CONTINUED)

Słowowi w oczy z uwagą, jej
oczy są teraz bardzo
powiększone przez grube szkła)
On ma jakieś problemy, synku. Jego
ojciec miał stale problemy i on też
ma problemy. Jest skryty, nic nie
mówi, ale ja widzę, że on się nie
zachowuje normalnie. Dobrze, że
choć ty jesteś inny niż on i niż
ojciec. Zawsze się modliłam o to,
żebyś nie był podobny do ojca.

SŁOW
(przyciskając ten temat)
W czym się tak różni od niego?

MATKA
(z namysłem)
Ojciec na przykład był bardzo
cnotliwy.

Słow nie wie jak rozumieć te słowa. Czy jako aluzję do jego
schadzki ze Służącą? Ale skąd Matka mogłaby o tym wiedzieć?
Jest zmieszany i trochę zirytowany, zniecierpliwiony. Stara
się zmienić temat.

SŁOW
(prosząco, jak dziecko)
Opowiesz mi więcej o nim?

MATKA
(dobrotliwie, jakby miała
opowiedzieć mu ulubioną bajkę)
Opowiem, siadaj tutaj bliżej synku.

Słow przejęty, prawie nie spuszczaając wzroku z Matki, siada
naprzeciw niej na podłodze. Nie jest mu chyba zbyt wygodnie.
Staruszka patrzy teraz na niego wyrozumiale i z czułością.
Daje mu chwilę, by się mógł przygotować i oswoić z
intymnością roli, w jakiej się znalazł. Jest to też
elementem dramaturgii mającej się za chwilę rozpocząć
opowieści o ojcu. Ciekawość Słowa rośnie. Jednocześnie ma
poczucie zadowolenia z siebie, że zainicjował tę rozmowę i
nareszcie kontroluje sytuację. Ma przeczucie, że poznanie
historii ojca pozwoli mu dowiedzieć się, co tu się kiedyś
stało i być może zrozumieć przyczyny ucieczki z domu
młodszego syna, za którego go teraz uznano. Ogromne,
powiększone okularami oczy Matki patrzą na niego łagodnie,
lecz przenikliwie, jakby znała jego myśli. Już ma zacząć
opowieść ale jeszcze coś nowego pojawia się w jej myśli.
Uśmiecha się z matczyną wyrozumiałością.

MATKA

(współczująco)

Jakież to rzeczy musiały się dziać
z tobą synku, skoro niczego nie
pamiętasz?

(głaszcze go po policzku)

Ale jednak coś podpowiedziało
twojemu sercu, żeby tutaj do nas
trafić.

Słyszając to Słow po raz pierwszy świadomie dopuszcza do
siebie myśl, że to oni mają rację i że jest rzeczywiście
zaginionym przed laty synem, który powrócił. Wspomnienie
własnej przeszłości sprzed przyjazdu do Ederly z trudem
toruje sobie drogę, jakby znikało w niewiedzy. Przenika go
dreszcz niepokojącego wspomnienia jakiegoś innego życia.
Przypomina sobie dziwną chwilę pod stołem, kiedy szukał
widelca i poczuł się małym chłopcem. Oczekuje z bijącym
sercem dalszych słów Matki.

MATKA

Nic mi nie musisz mówić. Ja
wszystko wiem. Dla mnie wciąż
jesteś małym chłopcem. Trochę
nieposłusznym, trochę
romantycznym...

SŁOW

(chwytając się tych słów)

A ojciec... nie był romantykiem?

MATKA

(uśmiechając się do swych
wspomnień)

Romantykiem to on był... Oj tak! Aż
za bardzo. A propos... Czy Krzyś
jeszcze się z tobą nie pobił? Nie
wyzwał cię na pojedynek?

SŁOW

(trochę zaskoczony, ale
konsekwentny)

Mamo, miałaś mi opowiedzieć o ojcu.

MATKA

No tak, tak, już dobrze. Zaraz ci
opowiem skoro tak bardzo chcesz.
Ale pamiętaj, nie będzie to zbyt
przyjemna opowieść.

(bierze głęboki oddech)

No cóż, twój ojciec sfiksował.
Zawsze był fiksum-dyr dum, ciągle o
czymś tam rozmyślał, ta jego głowa

(MORE)

(CONTINUED)

MATKA (cont'd)

zawsze była czymś zajęta. Jakieś wynalazki, jakieś tajemnice. Ale to się dopiero nasiliło na stare lata, od kiedy sobie wyliczył datę swojej śmierci. Widzę, że się uśmiechasz, ale nie myśl sobie, ojciec to dobrze wymyślił. Skądś się dowiedział, że wszyscy mężczyźni w jego rodzinie umierali w sto lat po urodzeniu się swoich ojców. Wyliczył sobie ten dzień i czekał na niego. Tak sobie tym głowę nabił, że już o niczym nie można było z nim rozmawiać. No i wyobraź sobie - miał racje.

SŁOW

(przejęty)

Umarł?

MATKA

Umarł. Tylko nie on, ale jego starszy brat, który nic o tym wyliczeniu nie wiedział. Ojciec najpierw odetchnął z ulgą, ale potem poczuł się bardzo nie w porządku, bo uznał, że brat zginął za niego. Tym bardziej się przejmował, że to właśnie on sam spowodował przeciąg.

SŁOW

Przeciąg?

MATKA

A tak! Przeciąg go zabił. Drzwi się zatrzasnęły. Dostał w głowę i koniec, w samą skroń! A dlatego, że ojciec otworzył lufcik. Zgłosił się zaraz na policję, że jest mordercą, ale go wyśmiali. Zaczął się odtąd gryźć tą sprawą, nie mógł znieść wyrzutów sumienia. I to dopiero było okropne bo postanowił sam sobie wymierzyć sprawiedliwość, znaczy się przyciąć się w drzwiach. Co myśmy z nim mieli! Po pierwsze zaczął polować na przeciągi. No ale to się nie udawało. Parę razy guza sobie nabił, a raz nawet mocno się pokaleczył i trzeba było jeździć z nim do chirurga i zszywać głowę. A

(MORE)

(CONTINUED)

MATKA (cont'd)

tak! Ale chyba rozumiesz, że się porwał na rzecz niemożliwą, nie można przecież przyciąć się samemu drzwiami na śmierć. Musieliśmy go ciągle pilnować jak malutkie dziecko. Krzyś mówił, że ojciec zazdrościł bratu, bo to on miał umrzeć, sobie to wyliczył nie jemu. Wreszcie trzeba go było umieścić w zakładzie. Tak zdecydował Krzyś. Zdawało się, że będzie już dobrze, ojciec uspokoił się... Dobrze tam na niego uważali, dawali mu odpowiednie lekarstwa... Ale ojciec okazał się od nich sprytniejszy, uśpił ich czujność i wreszcie udało mu się wymknąć spod ich oka...

(Matka ścisza teraz głos do szeptu)

Cały teren zakładu otoczony był wysokim murem a wchodziło się przez ciężką bramę z kutego żelaza...

Słow wstrzymuje oddech ale Matka przerywa opowieść i zaczyna grzebać znów w popiele.

MATKA

Idź już synku do swojego pokoju, odpocznij...

(sama zabiera się znów za ćwiczenia)

A może pośpisz sobie znów przed obiadem.

Słow jednak nie rusza się z miejsca, jak uparte dziecko, które czeka wciąż na dokończenie bajki. Matka nie zwracając już na niego uwagi powoli zaplata się w kolejnej asanie. Słow zaś niezmiennie czeka, jakby domyślał się, że na tym nie koniec opowieści, że najważniejszego Matka jeszcze nie powiedziała. Matce jego obecność wydaje się teraz trochę przeszkadzać w ćwiczeniach. Słow tylko trochę odsuwa się robiąc jej miejsce, ale uparcie nie rezygnując z usłyszenia końca opowieści.

MATKA

(cicho, jakby do siebie, będąc już w następnej niemożliwej pozycji)

Nie martw się nic. Ojciec żyje, jest w piwnicy. Krzyś go dokarmia w tajemnicy przede mną. Myje go i

(MORE)

(CONTINUED)

MATKA (cont'd)

wynosi odchody. Myśli, że ja o niczym nie wiem. Ale ja wiem wszystko. Pozwalam mu na to i udaję, że niczego się nie domyślam, bo rozumiem, jakie to dla niego ważne. Dzięki temu gra rolę głowy rodziny jako następcy ojca. Chociaż jaką tam ojciec był głową? A Krzys ma też w piwnicy swój gabinet do pracy. Zajmuje go historia tej wioski i całej okolicy. Czy myślisz na przykład, że Ederly to tylko nazwa tej wioski? O nie! Ma ona znacznie głębsze znaczenie choć niektórzy wywodzą ją od zwykłego piania koguta.

SŁOW

Koguta?

MATKA

(głośno pieje)

Edeeeeeerlyyy!!!

Śmieje się i nagle milknie. Zakrywa też na wszelki wypadek usta Słowowi.

20. WNETRZE. SALON DOMU KITUSÓW.

Spoza stołu wychodzi Brat. Nadszedł zupełnie przez nich niezauważony. Na jego twarzy zazdrość i oburzenie. Chce wyglądać groźnie ale nie udaje mu się to. Nagle, jakby reflektując się, oprawia spodnie i otrzepuje coś z kolan. Słow zauważa, że obie nogawki jego ciemnych spodni są wypchane i brudne na kolanach, jakby przed chwilą klęczał na zakurzonej podłodze. Brat chyba domyśla się, że Słow to zauważył. Ostentacyjnie lekceważąc jego obecność zwraca się do Matki.

BRAT

Niczego mama nie potrzebuje?

(ton jego głosu jest surowy
jak u wojskowego lekarza)

Powinna mama więcej leżeć. Nogi ma
mama znowu opuchnięte.

MATKA

(potulnie)

Zaraz się położę syneczku.

(rozplata się powoli, sięga po
pogrzebacz i poprawia coś w

(CONTINUED)

popiele wygasłego kominka, po
czym odwiesza pogrzebacz na
haczyk)
Możesz mi, kochany, nalać trochę
herbaty? Jest w kuchni świeżo
zaparzona esencja.

Brat odwraca się na pięcie i odchodzi, niby z obojętną miną,
ale zaciskając pięści i szczęki i rzucając Słowowi
nieprzyjemne spojrzenie. Matka patrzy za nim, oczekuje
chwilę i spogląda na Słowa.

MATKA

(szeptem)

Widziałeś jakie miał pobrudzone
spodnie na kolanach? Karmi ojca
klęcząc na ziemi przy jego łóżku.
Jakiż to dobry dzieciak...
(jej oczy robią się wilgotne)

AKT IV

21. PLENER. ZIMA. PÓŻNY WIECZÓR. WIEJSKA DROGA PRZY FURTCE
NA PLEBANIĘ.

Słow idzie w płytkim śniegu, dochodzi do furtki obejścia
plebanii. Wchodzi na teren witany przez psa. Głaszcze i
tarmosi jego grube futro na karku. Pies łąsi się do niego i
nie szczeka lecz mruczy przyjaźnie i popiskuje. Towarzyszy
Słowowi do drzwi wejściowych na plebanię. Zostaje grzecznie
na zewnątrz, gdy Słow otwiera drzwi i wchodzi do sieni.

22. WNĘTRZE. SIEŃ PLEBANII. ZIMA. WIECZÓR.

Słow zamyka drzwi i zaczyna się rozbierać z kurtki. Z kuchni
dochodzi go podniesiony, zrzędlawy głos staruchy. Słow
zastyga bez ruchu i zaczyna się przysłuchiwać, bo Gospodyni
podkreślając słowa zgrzytaniem garnków i fajerek mówi coś na
jego temat.

GOSPODYNI

(z offu)

...A tego mędrka to ja tak kiedyś
przeświadcę, że go rodzona matka nie
pozna! Siedzi tu już ze sześć
miesięcy a pożytku z niego żadnego!
Przegoniłabym go na cztery wiatry!
Ksiądz to za dobre serce ma, nad
był kim się ksiądz ulituje. Jakiś
on tam konserwator, nie

(MORE)

(CONTINUED)

GOSPODYNIA (cont'd)

konserwator...Licho go wie co
on za jeden. Krętacz jakiś, ot co!
A leń! Ledwie co węgla czasem
przyniesie, czy drzewa nałupie raz
na tydzień. Kartofli mi raz jeden
naobierał a i to żydów pełno
napozostawiał. Darmozjad taki, a je
za czterech. Do garnków i nieswoich
spraw to on pierwszy, nie bój
się... Ciekawe gdzie się obwieś
teraz podziawa?

(Słów słuchając tego coraz
bardziej błędnie)

Organistę ksiądz wykwaterował,
porządnego człowieka, a tego łajzę
na jego łóżko przyjął. Po wsi to to
łazi, nic nie robi, za dziewczuchami
się tylko ogląda, nicpoń. Ludzie na
niego gadają a z księdza się
śmieją, że sobie taką pijawkę
przystawił.

KSIĄDZ

(z offu, miękkim głosem,
ulegając Gospodyni)

Dosyć już, dosyć...Organista da
sobie radę. Sam kwaterę wymówił bo
zdaje się dziewczynę sobie znalazł.
A temu chłopakowi trzeba było pomóc
i przydaje się na służbie.
Brakowało nam przecież na plebanii
parobka. A przecież chłopak
niegłupi jest...

GOSPODYNIA

(głośniej)

O ho ho! Głupi to on nie jest! O
nie! Dobrze wiedział, jak księdza
podejść, jak sobie księdza dokoła
palca omotać.

KSIĄDZ

(trochę się stawia)

Ale... co też pani...To pocziwy
chłopak...

GOSPODYNIA

(kończąc ze złością i waląc
dobitnie pokrywką)

Eee...tam! Gadanie! Przegonię
drania ani się obejrzy!

(CONTINUED)

(słysząc jak ze złością wali
nagle pogrzebaczem o kuchnię,
Słow aż się kuli ze strachu)
Niech no się tylko pokarze. A nie
będę się na księdza oglądać, tylko
sama zrobię z nim porządek, bo to
dla księdza własnego dobra!

Słow struchlały zaczyna się wycofywać. Zapina z powrotem kurtkę, naciąga czapkę. Stara tymczasem uspakaja się i cichnie. Pyta księdza, czy coś zje, czy się herbaty napije. On odmawia. Gospodyni mamrocze jeszcze do siebie, chłapie wodą, sapie. Chwilę potem oznajmia, że idzie spać. Odmawia krótką modlitwę. Słysząc skrzypienie jej piernatu a chwilę potem już rozlega się głośnie chrapanie. Ksiądz tymczasem włącza sobie telewizor. Słow waha się przez chwilę nie wiedząc co zrobić. Wreszcie zapina kurtkę pod szyję, naciska czapkę i wychodzi zgnębiony na dwór, prosto w zimowy ciemny wieczór. Zamyka cicho drzwi za sobą.

23. PLENER. WIECZÓR. ZIMA. PODWÓRKO PLEBANII.

Jest zimno, z ust Słowa unoszą się obłoczki pary. Z budy wystaje czubek psiego nosa, który też wypuszcza parę. Spojrzenia Słowa i psa spotykają się. Na gwieździstym niebie świeci księżyc w nowiu. W ciszy słysząc przez okno chrapanie Gospodyni i odgłos programu telewizyjnego. Słow rozgląda się po obejściu. Opadają wolno płatki śniegu. Jakby zdecydowany na coś rusza rażno w kierunku drewnutni.

24. WNĘTRZE DREWUTNI. PÓŹNY WIECZÓR. ZIMA.

Słow zapala świeczkę. Bierze siekierę i zaczyna łupać drewno na szczapki. Wrzuca je do koszyka. Praca idzie mu zręcznie i szybko ale robi to bez przyjemności, mechanicznie, ze złością.

25. PLENER. NOC. PODWÓRKO PLEBANII.

Słow zabiera koszyk pełen drewna i stawia go ze progiem sieni plebanii. Wraca w stronę furtki i wychodzi na drogę. Patrzy za nim pies, który wyszedł z budy. Droga przez wioskę jest jak zawsze opustoszała. Słow żegna go spojrzeniem i odchodzi w ciemność.

AKT V

26. PLENER. NOC. LATO. OGRÓD KITUSÓW.

Słow zbliża się do furtki i wchodzi do ogrodu. Przed nim ścieżka oświetlona promieniami księżyca w pełni, prowadząca do drewnianej werandy. O ścianę opiera się plecami Matka otulona w jasnoszary płaszcz. Jej profil z uniesioną z trudem ku górze głową skierowany jest w stronę księżyca. W jednej dłoni trzyma papieros w krótkiej szklanej fifce, w drugiej nieodzowną blaszaną popielniczkę. Wydaje się, że nie usłyszała nadejścia Słowa, który zbliżając się obserwuje z uwagą jej twarz. Drobne, skurczone usta Matki wypuszczają smuzkę dymu. Obłok dymu unosi się powoli w księżycowym świetle. Słychać granie świerszczy. Słow zatrzymuje się cicho o kilka kroków od niej. Okazuje się jednak, że Matka widzi i słyszy wszystko.

MATKA

(prawie szeptem, rozkazującym tonem, prawie nie poruszając się)

Chodź tutaj.

Słow zbliża się na intymną odległość do Matki. Jest od niej dużo wyższy. Matka nadal pozwala mu obserwować swój wyrazisty profil oświetlony trupim blaskiem księżyca. Słowowi wydaje się, że tak bladą i szczupłą twarz widzi po raz pierwszy u żywego człowieka. Wstrząsa nim dreszcz lęku. (animacja: profil Matki, księżyc i dym z papierosa).

SŁOW

(bardzo cicho, przymilnie i niepewnie jak dziecko, z nutą fałszu)

Mamo, jesteś taka bledziutka...

Matka nie reaguje w żaden widoczny sposób na jego słowa. Słowowi znowu wydaje się, że nic do niej nie dociera, niczym do istoty z tamtego świata.

SŁOW

(szepcem do siebie)

Musi być chyba poważnie chora...

Wtem Matka odwraca się w jego stronę. Słow odruchowo cofa się lekko ale nie spuszcza jej ani na chwilę z oczu. Matka spogląda na niego żałośnie lecz z upartą wiarą we własne siły. Słow odpowiada jej spojrzeniem czułym i poważnym, jakby zrozumiał wszystko, choć przecież niczego nie zrozumiał. Oczekuje, że Matka powie teraz coś bardzo ważnego ale ona odwraca się zaskakująco szybko w stronę werandy i

(CONTINUED)

wchodzi na schodki gasząc po drodze papierosa w popielniczce. Słow pozostaje nieporuszony śledząc z uwagą jej ruchy. Przypatruje się jej szczupłej, pochylonej sylwetce, jej stopom w butach na płaskim obcasie, gdy wchodzi z niejakim trudem na stopnie chwytając się framugi i klamki dla złapania równowagi a potem otwiera sobie drzwi.

MATKA

(przez ramię)

Idź już spać, jest prawie północ.
Łóżko w swoim pokoju masz
pościelone.

Znika w mrocznym wnętrzu werandy.

27. PLENER. DOM KITUSÓW. NOC.

Słow ociąga się i zostaje jeszcze przez chwilę na dworze. Przed nim pozostawione przez Matkę niedomknięte drzwi. W końcu wchodzi do środka. Idzie w ciemności na pamięć: korytarz, salon. Tam, na środku, białe nakryty stół, połyskujące pianino pod schodami. Wszędzie cisza i pustka. Matka gdzieś się rozplynęła. Ze szczytu schodów sączy się słabe światło. Słow wspina się po drewnianych, trzeszczących stopniach. Z góry dochodzi słabe światło. Na piętrze wchodzi w wąski korytarzyk. Oświetla go kinkiet z przepalonym abażurem. Słow widzi po prawej stronie zamknięte drzwi z przyczepioną na pinezce karteczką. Cienki papier jest pożółkły i poskręcany ze starości, wycięty nożyczkami ze szkolnego zeszytu w linie. Wykaligrafowano na nim grzecznym, prawie dziecięcym pismem: „Proszę nie wchodzić. Pokój i taras są w trakcie renowacji”. Słow zaciekawiony naciska klamkę. Drzwi ustępują bez skrzypienia. Wnętrze pokoju wypełnia księżycowa poświata. Nie widać żadnych oznak prac remontowych, dawno nikt tutaj nie zaglądał. Nikt nie podniósł przewróconego krzesła, nie poprawił oberwanej firanki. Na stole leży młotek, na półkach parę książek, porzucony karton. Łóżko przykryte jest niedbale narzutą. Na parapetach stosy pism i gazet. Stojąca wysoka lampa z przekrzywionym kloszem, serwantka, kanapa. Pod ścianą dziesiątki doniczek z różnej wielkości kwiatami. Niektóre sięgają aż do sufitu. Prawie wszystkie są jednakowo zeschnięte. Słow wchodzi, chrząści mu pod nogami piasek i suche listki. Wyraźnie dawno nikt tu nie zamiatał. Zauważa porzuconą na łóżku kurtkę i częściowo rozłożoną mapę. Dochodzi do okna. Do ramy okiennej przyczepiona jest kolejna pożółkła karteczka w linie a na niej napis tym samym odręcznym pismem: „Uwaga, szyba jest stłuczona, grozi wypadnięciem”. Słow bierze z parapetu i przegląda niedbale kilka pism. W paru miejscach powycinane są z nich fotografie, z niektórych tylko głowy osób. Odwraca się w stronę łóżka. Na ścianie widnieje kilka fotografii

(CONTINUED)

rodziny wsuniętych za boazerię. Na kilku z nich widzi młodzieńca - jakby siebie sprzed wielu lat. Niektóre przedstawiają grupki młodych sportowców na nartach lub w bokerskich rękawicach. Na regale oprócz książek znajduje kilka autobusowych rozkładów jazdy, klasery ze znaczkami o częściowo posklejanych z sobą kartkach, kilka zeszytów o stronach zapisanych gęsto ołówkiem. W rogu gipsowa rzeźba głowy. Próbuje coś przeczytać z zeszytów ale nawet przy oknie jest zbyt ciemno. Siada na kanapie i zapada się w niej głęboko i nieprzyjemnie. Chce zapalić lampę ale nie ma w niej żarówki. Zauważa tuż przy kanapie szafkę i próbuje otworzyć jej szufladę. Nie widzi, że ktoś go obserwuje stojąc cicho w drzwiach, które pozostawił otwarte na oścież. Wstaje i kieruje się do wyjścia.

28. WNEȚRZE. DOM KITUSÓW. NOC. C.D.

Wtedy nagle zauważa stojącą nieruchomo w korytarzu Służącą, która chyba przyglądała mu się już od kilku minut. Patrzą na siebie. Słow uśmiecha się pokrywając w ten sposób mimowolne zmieszanie.

SŁOW

Czekałaś tu na mnie?

SŁUȚACA

Tak, przyniosłam czyste ręczniki. I jeszcze trochę sprzątałam łazienkę.

Słow zbliża się do niej i chce ją pocałować, ale ona szybko się odsuwa jak dzikuska.

SŁOW

(starając się nie dać poznać po sobie rozczarowania)

Jeszcze o tej porze pracujesz?

SŁUȚACA

(chłodno)

Mam tyle do zrobienia w domu, że muszę pracować nawet w nocy.

SŁOW

(pokazując za siebie i siląc się na żart)

Tutaj mam spać?

SŁUȚACA

Niech pan nie żartuje.

Dziewczyna odwraca się i odchodzi w głąb korytarza. Otwiera drzwi na wprost, zapala wewnątrz światło. Słow kroczy za nią

(CONTINUED)

zdziwiony i zbity z tropu. Mija uchylone drzwi do oświetlonej mocną żarówką łazienki. Jej podłoga wyłożona jest kafelkami w czarno - białą szachownicę. Z wilgotnych ścian odłazi płatami farba. Słow nieśmiało wchodzi za dziewczyną do małego pokoju z pochyłym sufitem i kwadratowym oknem. Prawie połowę wnętrza zajmuje stare szerokie drewniane łóżko o ciemnobrązowym wezgłowiu. Służąca poprawia właśnie poduszkę i kładzie ręczniki. Słow ogarnia pożądliwym wzrokiem jej wypiętą pupę ale nie ma odwagi jej dotknąć. Zatrzymał się tuż za drzwiami i obserwuje dziewczynę nie wiedząc, w jaki sposób zbliżyć się do niej, jak przekroczyć niewidzialną barierę między nimi.

SŁUŻĄCA

Niech się pan nie gniewa, już wychodzę...

SŁOW

Ależ nie...A w ogóle, jak to: pan? Dlaczego mówisz do mnie w ten sposób? Wczoraj byłaś inna... bardziej śmiała.

SŁUŻĄCA

Byłam zbyt śmiała i... przepraszam za to.

SŁOW

(plącząc się)

Przepraszasz? Za co przepraszasz? Co się stało? Wczoraj mówiłaś co innego...

SŁUŻĄCA

(napastliwie)

Mówiłam! No i co z tego, że mówiłam? Może niepotrzebnie, a może zmieniałam zdanie.

SŁOW

Myślałem, że po tym, co się zdarzyło między nami...

SŁUŻĄCA

Zdarzyło się za wiele. To moja wina i... przepraszam za to. To się już nigdy więcej nie powtórzy.

SŁOW

(coraz bardziej zdezorientowany i rozzarowany)

(MORE)

(CONTINUED)

SŁOW (cont'd)

Nie powtórzy? Jak to się nie
powtórzy? Przecież jeszcze
wczoraj...

Służąca szybkim ruchem zakrywa mu usta, jednocześnie szybko
i namiętnie obejmuje jego kark. Słow korzystając z chwili
całuje ją w usta. Dziewczyna nie broni się ale zaraz wyrывa
mu się. Ta namiętność była tylko „po drodze”. Dochodzi do
drzwi i zamyka je.

SŁUŻĄCA

Nie powinienes był wracać, nie
powinienes był tu przyjeżdżać do
Ederly!

Słow, który rusza ku niej przystaje teraz tuż przed nią,
jest zmieszany. Przez chwilę nie wie co powiedzieć.

SŁOW

(kompletnie zbity z tropu)

Dlaczego?

Służąca wraca w stronę łóżka, prowadzi Słowa za rękę. Siada
jakby zrezygnowana na brzegu łóżka, patrzy na Słowa trochę z
troską, trochę ze współczuciem, trochę z politowaniem, jak
na dziecko. On przysiada obok niej bez śmiałości, niezbyt
blisko.

SŁUŻĄCA

Nie powinienes... Nie rozumiesz
tego?

Słow wyciąga rękę do twarzy dziewczyny, ale wciąż czuje
jakąś obawę przed próbą dotknięcia jej.

SŁOW

Kocham cię.

SŁUŻĄCA

(spokojnie, patrząc mu w oczy)

Dobrze, zachowam sobie te słowa. Ja
też cię kocham. Ale nie wiem, czy
będę mogła ci pomóc.

SŁOW

Pomóc?

SŁUŻĄCA

Widzę, że się czegoś boisz. Masz
minę winowajcy. Może to właśnie
jest twój problem.

(CONTINUED)

SŁOW

Wydaje ci się, że tak dobrze mnie
znasz?

SŁUŻĄCA

(dziwnie smutno)

Wcale cię nie znam. Tyle lat cię
nie było. Nikt nie wie, co się z
tobą działo. Czy to nadal jesteś
ty? Ale ja jestem wciąż ta sama,
nadal twoja. Nawet jeśli tego nie
chcesz...

SŁOW

(gorliwie)

Chcę!

Służąca patrzy na niego ze smutkiem. Deklaracja Słowa zawisa
bezzadanie pomiędzy nimi.

SŁOW

Nie kocham tamtej dziewczyny.

(podnosząc głos)

Nie uważam jej za swoją
narzeczoną... Wiesz zresztą na
pewno, że jest dziewczyną
organisty.

SŁUŻĄCA

Tu nie chodzi o nią...

SŁOW

A o kogo?

(zawiesza głos)

Czy byłaś... jesteś... kochanką
Krzysia?

SŁUŻĄCA

Nie!

(ucieka oczami)

Kiedyś...

Słow jest poruszony. Waha się jeszcze i wreszcie ośmiela się
delikatnie ją objąć. Dziewczyna nie opiera się i pozwala się
pocałować. Ostrożnie przytula się do niego.
W ciszy wydają się być słyszalne uderzenia ich serc. Słychać
zza ściany odgłos spuszczonej wody w ubikacji.

29. WNEȦRZE. DOM KITUSÓW. NOC. C.D.

Nogi mężczyzny w skórzanych mokasynach idą po czarno/białych kafelkach. Potem słyhać lejącą się wodę z kranu i odgłos starannego mycia rąk. Nogi w mokasynach przechodzą z jasno oświetlonej łazienki do mrocznego korytarza.

30. WNEȦRZE. DOM KITUSÓW. NOC. C.D.

Słow i Służąca zajęci są pocałunkiem. Otwierają się drzwi do pokoju Słowa. Staje w nich Brat. Przez chwilę pozostaje niezauważony. Pierwsza dostrzega go Służąca i natychmiast po krótkiej szamotaninie wyzwała się z objęć Słowa i podrywa z łóżka. Nie wstaje jednak, lecz siada na jego skraju, jak najdalej można od swego kochanka. Brat jednak ma utkwiony wzrok tylko w Słowie. Nie porusza się blokując sobą wyjście. Po pewnym czasie zamyka drzwi za sobą i z satysfakcją zauważa niedopatrzenie kochanków - klucz w dziurce. Przekręca go powoli i chowa do kieszeni spodni. Uśmiecha się ohydnie, zadowolony z siebie. Robi krok w stronę łóżka, na którym siedzi Słow. Mierzą się wzrokiem. Brat wydaje się być do czegoś zdeterminowany, Słow - raczej wyczekujący i opanowany, choć wali mu serce.

BRAT

(zaczyna zimno, złowróźbnie,
cedząc słowa)

No brachu, nieźle, nic się nie
zmieniłeś.

(Słow prostuje się na łóżku i
patrzy na niego odważnie,
kontrolując sytuację a Brat
uderza nagle w patetyczny ton)

Nie żal ci matki?!

Słow spogląda w stronę dziewczyny, która zachowuje się spokojnie przyjmując zupełną neutralność wobec konfliktu braci. Tymczasem twarz Brata zaczyna drgać nerwowo w charakterystycznym tik. „Biedny człowiek” szepcze do siebie Słow. Brat, zdaje się, usłyszał to, bo zaciska szczęki i sili się na pogardliwy uśmiech. Wyraźnie zbiera siły do następnej wypowiedzi. Próbuje dłonią uspokoić drgającą powiekę i rozpoczyna swoją tyradę.

BRAT

(siadając na łóżku pomiędzy
Słowem i dziewczyną, tyłem do
niej)

Matką tyle lat czekała na ciebie.
Wciąż wierzyła, że wrócisz. Że
żyjesz... Urządziłem ci pogrzeb, z
litości dla niej, bo...wolałem,

(MORE)

(CONTINUED)

BRAT (cont'd)

żeby myślała, że nie żyjesz, niż,
że uciekłeś z rodzinnego domu!

(odejmuje rękę od twarzy,
która uspokoiła się, milknie
efektownie jakby dla dodania
dramaturgii i znów atakuje)

A ty? Wracasz po prawie dwudziestu
latach, jak gdyby nigdy nic!

Siadasz przy stole. Zjadasz
kolację. Sledzie, jajka w
majonezie, chleb, masło, kiszzone
ogórki, sałatka jarzynowa, szynka,
becon, grzybki marynowane, pasztet
domowej roboty. A na deser - ciasto
drożdżowe i herbata! Obżerasz się!
Matka...ci służy! Potem śpiewasz
wraz z organistą niemiecką pieśń!
Wszyscy to widzą!

(Słow próbuje wstać, ale Brat
kładąc mu ręce na ramionach
zmusza do pozostania na łóżku)

Nietrudno chyba domyślić się, że
matka jest chora? Poważnie chora.

(Służąca dyskretnie szuka za
plecami Brata dłoni Słowa)

Czy wiesz, że ta siwa, zgarbiona
kobieta kiedyś miała włosy czarne
jak kruk?!

(ręka dziewczyny cofa się
gwałtownie, Brat zawiesza
patetycznie głos)

Osiwiała w ciągu jednego roku po
twoim zniknięciu.

(robi dłuższą pauzę
rozkoszując się efektem, jaki
w swoim mniemaniu wywarł na
Słowie)

Czy wiesz, że podczas gdy tu
tutaj...he, he...zabawiasz się,
pijany, ta biedna staruszcza
siedzi teraz w swoim pokoju i cicho
płacze?

SŁOW

(korygując)

Nie jestem pijany.

BRAT

(nie pesząc się)

To przenośnia...

(przerywa jakby trochę jednak
wypadł z kursu)

(MORE)

(CONTINUED)

BRAT (cont'd)

Obserwowałem cię od początku, jak wszedłeś. Nic się nie zmieniłeś, a jeśli już - to na gorsze. Twoja narzeczona, doprawdy niezwykła kobieta, wciąż przychodzi do nas.

(Służąca, która siedzi obok, z zaskakującą poufałością, acz dyskretnie, pociera nosem o ramię Brata, ten nie zwraca na to większej uwagi)

W dniu, kiedy raczyłeś się pojawić obchodziła z nami swoje urodziny. Ciekawe, czy pamiętałeś które? Nie jest już młoda. Straciła swoje najlepsze lata czekając wciąż na ciebie. Matka kocha ją i traktuje niczym własną córkę. A ty już pierwszej nocy romansujesz ze służącą! Nie zaprzeczaj! Wiem wszystko. Znam cię. I dlatego tu wszedłem pomijając wszelkie grzecznościowe formy.

Wstaje i przechadza się po pokoju, jakby chciał podkreślić swoją swobodę poruszania się po sypialni brata, popatruje na niego z satysfakcją i wyższością.

SŁOW

(odważnie)

Przykro mi, ale narzeczona niewiele mnie obchodzi. Muszę też zburzyć twoją idealną wizję co do niej. Może i bywa u was często ale na pewno nie jest samotna. Dobrze to widziałem szukając pod stołem widelca. Jej kochankiem jest organista i dziwi mnie, że ty nic o tym nie wiesz i uważasz, że zaręczyny sprzed dwudziestu lat mogą być wciąż aktualne. Nie są! Ja zaś mam zupełnie inne plany osobiste!

Słow kończy z naciskiem, nawet prowokacyjnie, spoglądając przy tym na Służącą.

Ta zdaje się trwać w zawieszeniu przed okazaniem jakiegokolwiek reakcji. Brat całą jego wypowiedź wraz z tym zakończeniem puszcza mimo uszu.

BRAT

Pięknie, pięknie, coraz lepiej.
Wstyd. Wstyd! Dlaczego się nie

(MORE)

(CONTINUED)

BRAT (cont'd)

wstydzisz, nędzniku? Dlaczego twoja
twarz nie jest purpurowa? Ty gnido!
Lepiej by było, gdybyś nigdy nie
wracał i naprawdę nie żył!

Rusza gwałtownie do przodu i bierze zamach by wymierzyć
Słowowi policzek. Ten instynktownie odsuwa się i Brat tracąc
równowagę przewraca się obok niego na łóżko. Dziewczyna
podrywa się i uskakuje w bok robiąc im miejsce. Bracia
zaczynają się bić i szarpać, nieporadnie jak chłopcy,
szamocząc się i wymierzając ślepe ciosy. Bratu natychmiast
spadają gdzieś okulary i znikają w skotłowanej pościeli.
Służąca przypatruje się temu spokojnie, nie czyniąc żadnego
gestu. Wreszcie Słow wyswobadza się i podrywa z łóżka.
Dysząc poprawia na sobie ubranie i przygląda włosy. Brat
jeszcze przez chwilę wyplątuje się z pościeli i zaczyna
szukać okularów. Znajduje je z ułamanym jednym uchem i
szybko zakłada. Poczochrany, czerwony z wysiłku i w
przekrzywionych okularach wygląda komicznie ale i groźnie. W
przeciwieństwie do Słowa nie porządkuje ubrania ani włosów.
Jest ogromnie wzburzony. Ciężko dyszy i histerycznie
przygląda się własnym palcom, jakby sprawdzał, czy ma równo
obcięte paznokcie. Słow popatruje na Służącą, która
odwzajemnia spojrzenie zachowując jednak wciąż neutralność.
Brat siedzi na łóżku. Zaczyna czyścić okulary
prześcieradłem. Wreszcie unosi głowę i wpija wzrok w Słowa.

BRAT

(cicho i złowieszczo)
Powiesz teraz całą prawdę.

SŁOW

(nagle przestraszony)
Jaką prawdę?

BRAT

Po co tu wróciłeś?

Słow milczy. Spogląda znów na Służącą ale nie znajduje w
niej wsparcia ani choćby próby zrozumienia. Dziewczyna
przygląda się wszystkiemu niczym widz. Słow zdaje się wahać.
Może to jest moment by wyrwać się ostatecznie z roli syna?
Czy oznaczało by to nieodwołalną utratę dziewczyny? Tylko
czy ona jest rzeczywiście jego?

BRAT

Tchórzysz?

SŁOW

(opanowany)
Przeciwnie. Wygląda na to, że to ty
się czegoś boisz. I ma to coś
(MORE)

(CONTINUED)

SŁOW (cont'd)

wspólnego z moim pojawieniem się tutaj. Powiem ci prawdę, którą znasz równie dobrze jak ja. I będzie to niestety koniec całej zabawy w brata, matkę i narzeczoną. Otóż jestem konserwatorem zabytków i przyjechałem tu autobusem w poszukiwaniu pracy, mam na to świadka, chłopaka, który polecił mi wasz dom jako dobre miejsce na nocleg. Nie miał niestety pojęcia co się dalej stanie. Dziwi mnie, że nie chcieliście nawet przez chwilę posłuchać, co miałem do powiedzenia. Po prostu wiedzieliście lepiej kim jestem, niż ja sam. Nie jestem twoim bratem i spróbuj to wreszcie usłyszeć, ty...!

BRAT

(przerywa mu)

Dosyć! To było by nawet do ciebie podobne: podszyć się pod kogoś, wejść w cudze życie, oszukać matkę. Właśnie teraz dajesz mi całkowitą pewność.

SŁOW

Czy ty nadal niczego nie rozumiesz?

BRAT

To ty niczego nie rozumiesz.

(pauza)

A jeśli nie możesz już cofnąć tego, co się stało? Tak jak nie możesz już cofnąć tego, co zjadłeś.

SŁOW

(tracąc pewność siebie i zakrywając usta jakby odbiło mu się nieświeże jedzenie)

Mogę...

Spogląda raz jeszcze na Służącą w nadziei znalezienia w niej wsparcia ale ona odwraca wzrok w ziemię, jakby musiała okazać lojalność wobec Brata. Ten zaś, widząc to, uśmiecha się chytrze i z pozornie obojętną miną zaczyna szukać czegoś w kieszeni spodni. Słow jest trochę zdezorientowany, ale przygląda mu się z mimowolną ciekawością. Brat siedzi wciąż na łóżku i z trudem stara się wcisnąć dłoń do kieszeni.

(CONTINUED)

Unosi się dla wygody na jednym łokciu. Wreszcie wstaje. Wyciąga z kieszeni rękę, w której trzyma małe metalowe pudełko, podobne do pojemników, w jakich przechowuje się pieczętki. Unosi je i grzechocząc nim zbliża się do Słowa tak, że ich twarze prawie się dotykają. Słow czując jego bliski oddech odsuwa się ze wstrętem. Jest jednocześnie zaintrygowany, jaką kolejną niespodziankę ma dla niego Brat.

BRAT

(spoglądając na Słowa z ukosa)

A coś takiego widziałeś?

Odchyła blaszane wieczko. Obydwaj pochylają głowy nad pudełeczkiem. Na jego dnie leży mały zastrzony patyczek, trochę dłuższy i grubszy od wykałaczki. Brat spogląda na Słowa z niemal przyjaznym uśmiechem. Słow też się odruchowo uśmiecha. Nie rozumie o co chodzi Bratu, który próbuje właśnie wyjąć patyczek z dna pudełka. Jego palce mają tak krótko przycięte lub obgryzione paznokcie, że nie jest w stanie go uchwycić. Słow mimowolnie śledzi jego wysiłki z rosnącym zniecierpliwieniem i chcąc mu pomóc zaczyna sam także wyciągać patyczek. Ich palce przeszkadzają sobie wzajemnie i wreszcie Słow zirytowany wyrывa z rąk Krzysia pudełeczko, z rozmachem odwraca je do góry dnem, wytrząsa patyczek na drugą dłoń i podaje go Bratu. Ten z diabelskim uśmiechem chwyta go mocno w dwa palce.

BRAT

(unosząc patyczek)

A to znasz?

Łapie Słowa znienacka wprawnym i silnym chwytem za szczękę i odgina jego głowę w tył. Korzystając z zaskoczenia wbija mu szybkim ruchem patyk w dziąsło pod górną wargę. Słow krzyczy z bólu i po krótkim szamotaniu wyrывa się Bratu. Ale krew już płynie obficie z jego ust i kapie na podłogę. Słychać szczerze radosny diabelski śmiech Brata. Służąca zgarnia z łóżka pogniecione prześcieradło i podaje Słowowi. Ten przyciska je do twarzy tamując krew. Jedyne, czym może się teraz popisać to męzne zniesienie bólu. Brat, dumny z siebie, cofa się o krok patrząc na niego z triumfem. Dziewczyna jest poruszona, ma nawet łzy w oczach, ale panuje nad sobą. Wydaje się, że spodziewała się tego, znając już metody pana Krzysia i jego paskudny charakter. Słow, zgięty we dwoje, maca przed sobą po omacku, szukając czegoś, na czym można usiąść. Brat podsuwa mu krzesło. Słow siada, ale krzesło łamie się pod nim a Słow przewraca się na podłogę wywołując tym kolejną salwę szatańskiego śmiechu Brata. Nawet Służąca uśmiecha się ukradkiem. Słow dźwiga się nieporadnie, najpierw na czworaka, potem staje na nogi. Chwieje się, wygląda żałośnie.

(CONTINUED)

BRAT

(nabierając animuszu i wciąż się śmiejąc)

A teraz, marsz do kuchni! Są tam dla ciebie przysmaki... w kubie na śmieci! Ha! Ha! Ha! Zdaje się lubisz sobie podjeść, co? Hi! Hi! Hi! Codziennie talerz tłuczonych kartofli jak dla świń - tyle jesteś wart!

Szturcha Słowa, który pokonany nie broni się wcale. Brat rusza pierwszy do drzwi i zaczyna szarpać wściekle za klamkę zapominając, że sam je zamknął na klucz. Zaskoczony, w pierwszym odruchu odwraca się z wyrzutem do stronę Słowa i Służącej. Potem przypomina sobie o kluczu i wyciąga go z kieszeni. Uśmiecha się. Otwiera drzwi gwałtownie i szeroko.

BRAT

Ruszaj! Avanti!

Słow, z twarzą owiniętą prześcieradłem wlokącym się po podłodze, szurając nogami wychodzi z pokoju. Jest jak zranione zwierzę - skulony, przestraszony i gotowy w każdej chwili do ucieczki. Służąca, praktyczna osoba, wyciąga szybko z szufladki szafki przy łóżku zapalniczki i świecę. Zapala ją i wsadza do małego lichtarzyka. Gasi elektryczną lampę w pokoju i osłaniając płomień ręką dogania Słowa i Brata będących już na korytarzu. Słow idzie pierwszy, potykając się i przydeptyując prześcieradło. Jęczy i mamrocze coś o odejściu stąd na zawsze. Za nim, poganiając go, Brat, który powtarza złowieszczco i z upodobaniem: „Codziennie talerz tłuczonych kartofli dla świń - tyle jesteś wart”. Za nimi Służąca, milcząca i obowiązkowa, oświetlając drogę.

31. WNEȦRZE. DOM KITUSÓW. NOC. C.D.

Są już na dole, gdzie nagle pojawia się Matka, obudzona hałasem. Wybiegła ze swej sypialni w długiej nocnej koszuli i włosami splecionymi w warkocz. Mruży oczy przed światłem i wyraźnie nie jest jeszcze w pełni obudzona.

MATKA

(przestraszonym i zaspanym głosem)

Jezus, Maria! Która to godzina? Co się stało? Wy jeszcze nie śpicie chłopcy?

BRAT

(siłąc się na spokój, zdenerwowany, ale też wciąż rozbawiony)

(CONTINUED)

Absolutnie nic się nie stało, mamó.
Połóż się, wracaj do swojego
pokoju. Nie wolno ci się
denerwować.

MATKA

Ale dokąd wy idziecie?

BRAT

Idziemy na kolację. Twój młodszy
syn jest jeszcze głodny.

MATKA

A to dobrze synku, daj mu jeść, tak
mizernie wygląda... Jest w kuchni
ser, szynka i jeszcze kawałek
pasztetu. On tak lubi domowy
pasztet...

SŁOW

(bełkocząc przez
prześcieradło, trzymany za
ramię przez Brata)
Nic nie będę jeść, nie jestem
głodny, puszczaj mnie...

MATKA

Co on mówi? Ja nic nie rozumiem.
Czy ty rozumiesz Krzysiu, co on
mówi? Dlaczego on ma taki dziwny
głos?

SŁOW

(już wyraźniej, do Brata)
Puszczaj mnie, odsuń się pan!
Wychodzę stąd!

MATKA

(rozpaczliwie, błagalnie,
patetycznie)
Nie, nie odchodź! Synku! Nie
pozwolę ci znowu odejść z domu! Nie
odpychaj swojej starej matki!
Syneczku!

Zaczyna się gwałtowna szarpanina. Matka ciągnie Słowa za
ręce i za ubranie, Brat stara się go zmusić by wszedł do
kuchni. Słow stara się wyrwać im brnąc uparcie ku wyjściu i
ciągnąc ich za sobą. Służąca oświeśla ich spokojnie
uniesionym do góry lichtarzykiem. W pewnej chwili Słowowi
udaje się wymierzyć Bratu cios łokciem w szczękę. Brat pada
z łoskotem na podłogę a Słow wyrывая się Matce i gubiąc po
drodze prześcieradło dopada do drzwi wejściowych. Tam

(CONTINUED)

zauważa swoją torbę wiszącą na wieszaku, chwyta ją i zaczyna mocować się nerwowo z kluczem w drzwiach. Matka i Brat, który otrząsnął się po ciosie i pała żądzą zemsty rzucają się znów na niego właśnie w chwili, gdy już jest w progu. Całą siłą przygniatają go drzwiami do framugi. Słow wyje i syczy z bólu. Krawędź drzwi wrzyna mu się w ramię, w zebra, w obojczyk, przygniata głowę do futryny. Zasuwka wgniata się w jego policzek. Wrywają mu torbę. Słow nie dba już o nią. Chce się tylko wydostać na wolność i w końcu udaje mu się to za cenę porwanego ubrania i pokaleczonej skóry.

32. PLENER. NOC. WIOSKA EDERLY.

Wybiega do ogrodu i pędzi nie oglądając się do furtki. Jest otwarta. Dopiero tutaj, już stojąc na drodze, odwraca się za siebie. Nikt go nie ściga. Matka i Brat zatrzymali się w drzwiach werandy. Za nimi ze świeczką stoi Służąca. Brat zgubił po drodze okulary. Matka troskliwie obciera mu wyjętą z rękawa chusteczką krew z rozbitego nosa i rozciętej wargi. Służąca pomaga jej trzymając blisko lichtarz. Wszyscy troje są całkiem zajęci sobą. Słow wpatruje się w nich ogarnięty jakimś nieoczekiwanym zalem i zazdrością. Czuje, że coś utracił. Matka z tkliwością głaszcze starszego syna po policzku. Odwracają się w końcu i znikają w głębi werandy. Służąca zostaje trochę dłużej. Spogląda w milczeniu w stronę Słowa i zamyka drzwi. (animacja: niedokładne powtórzenie sceny ostatniego spojrzenia i zamykania drzwi przez służącą) Jeszcze przez chwilę za szybą migocze światło świeczki a potem znika. Słow trwa bez ruchu w otwartej furtce, jakby nie mógł uwierzyć, że nikt go już nie goni, że przestał ich obchodzić, że wszystko się skończyło. Dotyka ostrożnie obolałych miejsc. Podnosi koszulę by lepiej się przyjrzeć swym ranom. Jest jednak zbyt ciemno, by mógł coś zobaczyć wyraźniej. Dotyka ust, te bolą najbardziej. Ma też skaleczone czoło i skroń. Wpatruje się znów w mroczną werandę. Wygląda jakby przez moment miał ochotę tam zawrócić, zaciska zęby z bezsilności. W końcu odwraca się w stronę drogi i odchodzi nią wolno, nie mając żadnego pomysłu dokąd się udać. Dochodzi do rozwidlenia ścieżek. Tam zauważy porzucony w krzakach wiejski rower. Wyciąga go, prostuje mu siodełko, centruje kierownicę. Widać, że wstąpił w niego jakiś nowy duch. Wsiada i rusza przed siebie. Jedzie coraz szybciej. We wsi noc, cisza, gdzieś z oddali szczeka pies. Słow pędzi rozklekotanym rowerem ile sił, na jakimś zakręcie przewraca się ale natychmiast wstaje i jedzie dalej. Znika za rogiem jakiegoś parkanu. Zza chmur wynurza się księżyc. Listki drzew i krzewów przenika lekki wiatr. Spomiędzy traw wysuwa się wielka żaba i niezdarnie skacze w poprzek drogi.

AKT VI

33. PLENER. NOC. WIOSKA EDERLY. C.D.

Słow wyjeżdża rowerem zza zakrętu drogi, w tym samym miejscu, w którym wcześniej zniknął. Zbliży się, przejeżdża obok wciąż siedzącej pośrodku drogi żaby, oddala się i po dłuższej chwili znów nadjeżdża z przeciwnej strony by znaleźć się w tym samym miejscu. Zatrzymuje się bezradnie. Jest zmęczony, zagubiony. Wydaje się, jakby wioska nie chciała go wypuścić. Rozgląda się. Wokół ani żywego ducha. Nieopodal przydrożna kapliczka. Widzi poza nią ciemną, bezkresną niemal połąć pastwiska. Na jej krańcu wydaje mu się, że dostrzega regularne rozstawione słupy telegraficzne. Na potwierdzenie tego po horyzoncie przesuwają się właśnie dalekie światła reflektorów samochodowych. Autobus? Po chwili znika ale Słow ma już pewność, że tam jest szosa. Tam musi się dostać. Tam jest wolność. Wsiada znowu na rower i desperacko rusza na przełaj przez łąkę. Po paru metrach przewraca się, porzuca rower i brnie dalej na przełaj. Teren staje się coraz bardziej wilgotny i grząski, Słow przedziera się przez chaszcze i wertepy, przełazi z trudem w ciemnościach przez kolczaste druty grodzące pastwisko. Zaczyna siąpić deszcz. Robi się zimno. Słow nastawia kołnierzyk kurtki i zapina guzik pod szyją. Idzie i idzie, desperacko, prawie biegnąc, wciąż się potykając, lecz horyzont nadal jest tak samo daleko. Nagle wpada w głęboki rów melioracyjny. Wygrzebuje się z trudem z błota. Trzęsie się z zimna. Horyzont z wolna rozjaśnia się świtem. Niespodziewanie zauważa ciemny zarys szopy stojącej tu na odludziu. Niczego już więcej nie pragnie niż schronienia przed zimnem i deszczem, chwili odpoczynku. Dochodzi resztką sił do szopy. Jest wielka, opuszczona i na wpół rozwalona ale przykryta dachem. Drzwi są otwarte. Słow bez namysłu wchodzi do środka.

34. WNĘTRZE. ŚWIT. SZOPA NA ODLUDZIU.

We wnętrzu wyczuwa ręką suche siano. Siada na nim podciągając kolana pod brodę. Obok znajduje stertę gazet. Gniece je w kule i wpycha pod ubranie i w rękawy. Jest doszczętnie zmęczony. Szczeka zębami z zimna. Przez prostokąty wyrwanych okien sączy się już świt. Słow kuli się w sobie, opiera o ścianę szopy i prawie natychmiast zasypia.

35. WNĘTRZE. PORANEK. ZIMA. SZOPA NA ODLUDZIU.

Męska silna ręka potrząsa śpiącego Słowa za ramię. Słow z trudem się budzi. Wygląda marnie - zapuchnięty, rozczochrany, z krwią zaschniętą na twarzy i rękach. Mruży oczy przed światłem. Widzi pochylonego nad sobą Księdza. Jego twarz jest tęga, nabrzmiała, jak zwykle rumiana, porośnięta siwą, szczeciniastą brodą. W oczach troska. Ubrany jest w ciężkie, czarne palto. Na głowę ma wciśniętą zimową czapkę uszankę. Słow w pierwszej chwili nie poznaje go.

KSIĄDZ

(sapiąc, z ust leci mu para)

Ależ zmarzł! Ależ zmarzł!

Wreszcie w oczach Słowa widać, że rozpoznał Księdza. Uśmiecha się słabo. Dzwoni z zimna zębami, wstrząsają nim dreszcze. Nie może wymówić ani słowa, chociaż próbuje. Ksiądz mocno chwyta go pod ramię i podnosi. Słow stęka i jęczy. Wszystko go boli. Ksiądz patrzy ze zgrozą na jego opłakany stan, ale o nic nie pyta. Zdejmuje szybko swój gruby paltot i narzuca go na Słowa. Ten aż się ugina pod jego ciężarem. Stara się uśmiechnąć z wdzięcznością. Ksiądz nasadza mu jeszcze na głowę swoją czapę.

36. PLENER. PORANEK. ZIMA. PASTWISKO.

Z wnętrza szopy wynurzają się dwie męskie sylwetki. Słow ubrany jest w długi księżowski paltot i czapkę, Ksiądz w gruby sweter i sutannę. Idą powoli obejmując się ramionami. Kulą się przed podmuchami wiatru. Głośno sapiąc brną w śniegu, który pokrywa okolicę jak okiem sięgnąć. Wiatr zawiewa śniegiem, zrywa Słowowi czapkę, łopocze sutanną. Gną się sterczące z ziemi wysokie suche trawy. Ksiądz i Słow uparcie posuwają się krok za krokiem w stronę wioski. Znikają nam z oczu.

(animacja: niedokładne powtórzenie sceny Słowa i Księdza idących obejmując się pod wiatr, za nimi szeroki, szarzejący w świetle step).

37. PLENER. PORANEK. ZIMA. PASTWISKO C.D.

Widać tylko kępy wysokich traw, dziko i bujnie rosnących niczym na stepie. Coś się w nich wolno porusza - potężny, ciężki zarys bawołu o rozłożystych, grubych rogach i gęstej, długiej, zwisającej aż do ziemi sierści. Głucho stąpa wydając niski pomruk. Zmarznięta trawa i badyle chrzęszczą w jego pysku. Parują nozdrza.

38. WNEȦRZE. CIEMNY ZIMOWY DZIEŃ. PLEBANIA.

Na kaflowej kuchni huczacej od ognia grzeje się wielki cynowy sagan z wodą. Słow siedzi rozebrany do naga na swoim łóżku pod ścianą. Okryty jest na głowę kołdrą i baranią skórą. Jego bosc stopy opierają się o podłogę. Spogląda nie poruszając się to na garnek, to na staruchę, która ze złością, ale posłuszna Księdzu ściele dla Słowa posłanie na księżowskiej sofie ustawionej na honorowym miejscu izby, naprzeciw telewizora. Gospodyni rzuca Słowowi co i raz nienawistne spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „Takie ładaco, a patrzcie no, jak to mu dobrze gałganowi! Ja bym go tam kopniakiem za próg wyrzuciła, drania”. Obok, na podłodze blisko kuchni, naszykowana balia. Wchodzi Ksiądz, bez sutanny, w czarnych spodniach na szelkach i szarym podkoszulku z długimi rękawami. Podciąga rękawy podchodząc do gara z gorącą wodą. Daje znak Gospodyni.

KSIĄDZ

No, bierzemy go!

GOSPODYNIA

(nie przerywając swojej roboty)

Zara, zara... jeszcze nie skończyłam. Co się tak księdzu śpieszy? Gwałtu nie ma. A jeszcze ubranie mu trzeba będzie uprać, bo upaprał się jak święci w torbie.

Wygląda jeszcze prześcieradło i wstrząsa fachowo poduszkę. Widać, że została wychowana w poszanowaniu pracy. Mimo że nie lubi Słowa to ściele mu łóżko porządnie, bo nie potrafi inaczej. Wreszcie kończy i dołącza do Księdza. Jest stara, schorowana i niewielka ale silna jak koń. Rozstawia szeroko nogi i bierze przez szmatę gorące ucho wielkiego gara z wrzątkiem. Ksiądz w ten sam sposób chwyta za drugie ucho. Z wysiłkiem dźwigają sagan, robią ostrożnie kilka kroków i wlewają wodę do balii. Unosi się wielki obłok pary. Starucha sama już odstawia garnek na kuchnię i zakrywa fajerką otwarte palenisko z buchającym ogniem, na którym grzała się woda. Sprawdza jeszcze, czy kąpiel nie jest za gorąca i dolewa trochę zimnej wody z wiadra. Słow na znak Księdza wstaje i zakrywając dłońmi przyrodzenie wsadza jedną nogę do balii. Potem wchodzi cały i siada. Ksiądz i Gospodyni biorą ryżowe szczotki i myją go, nacierają mu plecy, polewają głowę z blaszanego kubka i namydlają szarym mydłem. Cały pokój wypełnia para. Nikt się nie odzywa. Słow pozwala się myć jak dziecko. Wreszcie Ksiądz daje mu znak, by się podniósł i owija go ręcznikiem. Słow sam się wyciera uważając wciąż, by zasłaniać przed Gospodynią swą nagość. Ta jednak zupełnie nie zwraca na niego uwagi, traktuje go bardziej jak zwierzę niż mężczyznę. Słow oddaje Księdzu

(CONTINUED)

ręcznik. Włazi na sofę. Ksiądz przykleja mu plaster z opatrunkiem na skaleczone czoło, potem okrywa go kołdrą, na nią kładzie pierzynę, a na wierzch jeszcze baranicę. Słow podciąga przykrycie pod sam nos. Czuje się dobrze i bezpiecznie. Na jego twarzy pojawia się prawdziwy uśmiech szczęścia, po raz pierwszy od kiedy zawędrował do wioski. Ksiądz pokazuje Gospodyni palec na ustach. Stara kiwa głową wykrzywiając się z niezadowoleniem. Słow słyszy jeszcze, że ktoś włącza telewizor z przyciszoną fonią. Kątem oka widzi na ekranie jakiś telewizyjny show. Zasypia.

39. WNETRZE. PLEBANIA. EKRAN TELEWIZORA.

Fragment telenoweli. Widzimy scenę rozmowy dwóch aktorek mówiących po hiszpańsku. Stoją na tle typowego nowobogackiego wnętrza, mają bujne fryzury, prosto od fryzjera, mocne makijaże, ubrane są w obcisłe, eleganckie kostiumy. Polską listę dialogową czyta lektor Janusz Szydłowski.

KOBIETA I

Nienawidzę cię, zabiłaś moją matkę.

KOBIETA II

Nie zabiłam jej.

KOBIETA I

Ależ tak, zabiłaś, a potem ją zjadłaś.

KOBIETA II

Zjadłam?

KOBIETA I

Tak, pokroiłaś ją na kawałki i zjadłaś.

KOBIETA II

Cóż, to prawda. Zjadłam ją, ale nie zabiłam.

KOBIETA I

Kłamiesz.

KOBIETA II

Nie zabiłam. Dostałam ją w prezencie.

KOBIETA I

Od kogo?

(CONTINUED)

KOBIETA II

Od mojej kuzynki. Nie pamiętasz?
Było wtedy Boże Narodzenie, a my
nie mieliśmy nic do jedzenia.
Carlos zbankrutował. Żeby przeżyć
miał nawet sprzedać swój dom w
Beverly Hills.

KOBIETA I

O czym ty mówisz?

KOBIETA II

Ależ tak. Siedzieliśmy wszyscy przy
pustym stole i czuliśmy się
okropnie. Nie mieliśmy nic, nawet
opłatka. I wtedy weszła kuzynka i
powiedziała: „Mam dla was prezent”.
To była twoja matka.

KOBIETA I

Ach przestań! Twoje usta nie
powinny wymawiać jej imienia.
Gryzłaś i łykałaś ją, a teraz o
niej opowiadasz.

KOBIETA II

Ależ to było prawie dwadzieścia lat
temu. Nie powinnaś wciąż tak tego
przeżywać.

KOBIETA I

Wiem. Ale to jednak była moja
matka. Wyjdź już!

KOBIETA II

Spotkamy się we czwartek?

KOBIETA I

A jeśli powiem, że nie?
(odwraca się na odgłos
otwieranych drzwi, wchodzi
elegancki, łysawy brunet o
śniadej cerze)
Carlos? Ty żyjesz?

40. WNĘTRZE. ZIMOWE PRZEDPOŁUDNIE. PLEBANIA.

Starucha smaży placki. Co i raz popatruje w telewizor
przymrużając oczy. Szura głośno patelnią. Zgrzyta fajerkami.
Skwierczy tłuszcz. Zagapiona w film upuszcza placek obok
patelni. Cmoka ze złością i krzywi się. Odcinek telenoweli
dobiegł właśnie końca. Słysząc charakterystyczną muzykę i
głos lektora.

(CONTINUED)

LEKTOR

Był to film „Stracone lata” -
odcinek trzy tysiące sześćset
trzydziesty szósty.

Starucha zagląda do garnka z barszczem, miesza chochlą,
wacha, dmucha i trochę próbuje. Cmoka tym razem z
zadowoleniem. Uśmiecha się, ale nagle marszczy brwi i ogląda
się przez ramię. Wraca do garów i odzywa się niby do siebie
ale tak, żeby Słow ją dobrze usłyszał.

GOSPODYNIA

Starczy już będzie tego dobrego.
Śpi to to już ze trzy dni. Do
roboty by się wziął, truteń.
(odsuwa ze zgrzytem fajerkę,
grzebie hałaśliwie w wiadrze z
węglem)
Węgla trzeba nanosić z piwnicy,
drzewa nałupać, kartofli nie
ma...Cały dzień stoję przy kuchni,
a taki sobie chrapie tylko,
wyleguje się, nic nie robi, wałkoń.
A zadowolony! Wiadomo, jak się
gówno dostanie na łyżkę to se
myśli, że jest miodem... Ksiądz
takiego darmożjada przyjął, a
organiście, porządnemu człowiekowi,
kwaterę wymówił.

Słow udaje, że śpi, nie rusza się, ale wie już, że stara nie
daruje mu i będzie dotąd gadać i hałasować, aż zmusi go do
wstania. Gospodyni jest nawet bardziej zdecydowana niż
myślał. Tuż koło jego głowy lądują nagle z hukiem i brzękiem
dwa wielkie, puste, blaszane wiadra na węgiel. Nie
towarzyszy już temu żaden komentarz. Słow też o nic nie pyta
tylko podnosi się z pościeli i mozolnie spuszcza nogi na
podłogę.

41. WNETRZE. PLEBANIA. C.D.

W tej właśnie chwili wchodzi Ksiądz. Zatrzymuje się w progu,
nie zdejmując palta ani czapki. Czerwony na twarzy od mrozu.
Patrzy na Gospodynię i Słowa. Jest podekscytowany i uśmiecha
się jakby miał dla nich jakąś rewelacyjną wiadomość.
Gospodyni patrzy na niego wyczekująco wkładając kawałek
placka do ust.

KSIĄDZ

No, zgadnijcie kogo zabili we wsi?!

GOSPODYNIA

Jezus, Maria, Józefie Święty!
(placek wypada jej z ust na
podłogę, szybko podnosi go i
przypatruje mu się z bliska)
Nie ma włosów...
(wkłada go z powrotem do ust)

Ksiądz odczekuje chwilę dla wzmocnienia efektu, zadowolony,
że zabił im takiego ćwieka. Uśmiecha się.

KSIĄDZ

Krzysztof Kitus nie żyje!
Znaleziono go w piwnicy prawie bez
głowy.

GOSPODYNIA

(żegna się znakiem krzyża)
W imię Ojca i Syna...

KSIĄDZ

Nieźle był poharatany, a w głowę
dostał nie wiadomo czym. Jedni
mówią, że łopata, inni, że jakąś
blachą albo nawet drzwiami, bo na
drzwiach ślady krwi były.

GOSPODYNIA

Zawsze mówię, że jak kto włązi
gdzie nie trzeba to źle skończy -
na łeb mu co spadnie, cegła, czy
blacha jakaś i albo zabije, albo
głowę utnie...

KSIĄDZ

Podejrzanie padło na młodszego
syna, tego, co to wrócił
ze Szwajcarii i ponoć nie w pełni
zdrów jest na umyśle. A szkoda go,
bo kiedyś dobry był chłopak...Teraz
znowu przepadł. Przy zabitym
znaleziono jego torbę, a głowa
owinięta była prześcieradłem
wziętym z łóżka chłopaka.
Wystarczający dowód winy. Jest już
policja w wiosce. Szukają go i
przepytują świadków i sąsiadów.
Tutaj też będą za niedługo.
Przygotujmy się.

GOSPODYNIA

(zadowolona ze swojego
pomysłu)
(MORE)

(CONTINUED)

GOSPODYNI (cont'd)

Może by tak poczęstować ich
barszczem i plackami?

KSIĄDZ

(trochę zniecierpliwiony)

Można, ale nie to miałem na myśli.

Spogląda znacząco na Słowa, z dziwnym uśmiechem, jakby trochę kpił z niego wiedząc o jego podwójnym życiu w wiosce. Gospodyni tymczasem ochoczo bierze się za gotowanie. Miesza drewnianą łyżką barszcz, próbuje i mlaszcząc kiwa głową z aprobatą. Perspektywa wizyty policjantów podziałała na jej wyobraźnię, chce wypaść jak najlepiej. Zupełnie przestała zwracać uwagę na Słowa, który siedzi pośrodku rozgrzebanego łóżka, bosymi nogami dotykając podłogi. Ksiądz nie spuszczając z niego wzroku zdejmuje powoli palto i czapkę. Odwiesza je do szafy, po chwili jeszcze, dziwnie zaniepokojony, sprawdza coś w kieszeni palta, wyciąga małą paczuszkę herbatników i z ulgą chowa je z powrotem. Spogląda znacząco na Słowa i krótkim gestem głowy każe mu schować się z powrotem pod pierzynę. Słow posłusznie się kładzie i nakrywa aż pod brodę. Gospodyni tymczasem przypomina sobie o braku węgla i już ma się odezwać do Słowa, gdy za oknem rozlega się wściekłe ujadanie psa. (animacja: ujadający i szarpiący się na łańcuchu pies) Chwilę później słychać donośne pukanie do drzwi. Ksiądz i Gospodyni wymieniają ze sobą spojrzenia. Słow podciąga jeszcze wyżej pierzynę, aż po czubek nosa i zamyka oczy. Ksiądz marszczy brwi i zaciska usta nadając sobie wyraz osoby nieprzejednanej. Dużymi krokami, głośno tupiąc znika w sieni zamykając za sobą drzwi. Gospodyni rzuca Słowowi niechętnie spojrzenie i szybko zagląda do sieni przez dziurkę od klucza. Ledwie udaje jej się odskoczyć przed otwierającymi się drzwiami.

42. WNĘTRZE. PLEBANIA. C.D.

W progu wejścia z sieni dwóch mężczyzn (POLICJANT I i POLICJANT II), za nimi Ksiądz. Słow nagłony ciekawością uchyła powieki. Starszy z policjantów spokojnie ogarnia spojrzeniem pokój. Gospodyni uśmiecha się do nich przymilnie i z uśmiechem nakłada placki na patelnię niczym kobieta z reklamówki.

KSIĄDZ

(uprzejmie, opanowanym głosem)

Proszę do środka, panowie, proszę.

Policjanci wkraczają do wnętrza plebanii niespiesznym krokiem, ze spokojem ludzi wykonujących bez skrępowania swoje rutynowe obowiązki. Rozglądają się pobieżnie z zawodowego przyzwyczajenia, ale nic nie wzbudza ich

(CONTINUED)

szczególnego zainteresowania, włączając w to Słowa, leżącego pod górą pościeli na sofie pośrodku pokoju. W telewizorze nadawany jest jakiś niemiecki talk-show, np.: „Zwei bei Kallwas” ale z przyciszoną fonią. Obaj Policjanci zatrzymują się na środku pokoju, tuż obok sofy ze Słowem, kompletnie nie zwracając na niego uwagi. Ubrani są po cywilnemu, chociaż ich ciemne, jednakowe płaszcze sprawiają wrażenie służbowych uniformów (jak płaszcze gestapowców). Po drugiej stronie sofy stoi Ksiądz. Rozmowa odbywa się ponad głową Słowa. Gospodyni przysłuchuje się jej gorliwie nie odchodząc od kuchni. Uduje jednak, że nie jest zainteresowana.

POLICJANT I

W jednym z domów w tej wiosce
dokonano morderstwa. Pewnie wiadomo
jest już księdzu o tym wydarzeniu?

KSIĄDZ

Tak, słyszałem o tym. To potworna
zbrodnia.

POLICJANT I

Prowadzimy śledztwo i
przesłuchujemy wszystkich
mieszkańców wioski. Chcemy zadać
księdzu kilka pytań.

KSIĄDZ

(tonem zachęty)

To zrozumiałe. Bardzo proszę.

POLICJANT I

Czy zna ksiądz dobrze rodzinę
Kitusów?

KSIĄDZ

Znam tu wszystkich parafian. Co
prawda rodzina Kitus jest
niepraktykująca, zwłaszcza
nieboszczyk, pan Krzysztof, znany
był ze swych ateistycznych
przekonań. A matka jest Żydówką,
ale ochrzczone... Najlepiej
znany mi był młodszy syn, zupełnie
niepodobny do reszty rodziny.
Religijny, dobry chłopak. Chodził
do mnie na religię, był
ministrantem... No cóż, potem
wyjechał...

(zaczyna się)

(CONTINUED)

POLICJANT II

Na studia?

KSIĄDZ

Ponoć na leczenie za granicę...
Niedawno wrócił, ale nie
spotkaliśmy się jeszcze.

POLICJANT I

Szukamy go, pewne wskazówki
prowadzą do niego, jako mającego
udział w zabójstwie.

(Ksiądz kiwa głową na znak, że
słyszał i o tym)

Czy mógłby ksiądz powiedzieć nam
coś więcej o nim, opisać go pod
względem charakterologicznym?

KSIĄDZ

Ha, to dość trudne, nie widziałem
go przez lata. Dobrze by było
dotrzeć do lekarzy...A ja? No
cóž... Czy ja wiem...

(zamyśla się)

Nie był złym chłopcem.
Przestrzegałbym przed pochopnymi
wnioskami.

POLICJANT I

Czy miałby ksiądz jakąś sugestię,
gdzie może się ukrywać? U kogo
mógłby szukać pomocy?

KSIĄDZ

No cóž, kiedyś na pewno szukałby
jej u mnie.

(uderza dłonią w oparcie sofy)

Ale po tylu latach niewidzenia
się... Naprawdę nie wiem, dokąd
mógł się udać. Jest ponoć niezdrow
na umyśle. Chociaż może to tylko
wiejskie plotki...

Policjanci jakby dopiero teraz zauważają Słowa.

POLICJANT I

A kim jest ten człowiek tutaj?

KSIĄDZ

(z kamiennym spokojem)

To konserwator zabytków. Nazywa się
Słow. Ma odnowić rzeźby kamienne
przy naszym kościele. Czekamy z tym

(MORE)

(CONTINUED)

KSIĄDZ (cont'd)

do wiosny. Tymczasowo pracuje u mnie jako parobek. Zaziębił się i kazałem mu leżeć w łóżku. Jest u nas od pół roku.

Policjanci wymieniają jakieś uwagi szeptem. Młodszy z nich pokazuje starszemu coś w swoim notesie.

POLICJANT II

(pólgłosem do przełożonego)

No tak, tamten wrócił dwa dni temu... Chociaż wiek by się zgadzał i też wygląda na idiotę.

KSIĄDZ

To dobry chłopak.

GOSPODYNIA

(zadowolona, że wreszcie ma coś do powiedzenia)

Taki on dobry, jakby kto w desce dziur nawypalał. Leń, wałkoń, nicpoń. Tyle czasu już Ksiądz żywi przybłędę...

Policjanci spoglądają na nią niechętnie.

GOSPODYNIA

(przymilnie, chwając się)

Może placek z barszczem dam? Świeżo narobiłam. Barszcz dobry, tłusty, ze szmalcem. A placuszki z miodem.

Zapada na chwilę cisza. Starszy policjant patrzy na Gospodynię surowo i zaciska usta, jakby chciał rzucić jakieś przekleństwo. Młodszy oblizuje się i łyka ślinę, ale boi się odezwać. Gospodyni czeka z nadzieją.

GOSPODYNIA

(wobec braku wyraźnej reakcji)

To może chociaż herbaty nalać?

POLICJANT II

(nieśmiało)

Ja to bym placek spróbował...

POLICJANT I

(ostro)

Nie ma mowy! Żadnych placek! Trzeba było jeść rano, jak wszyscy jedli!

(CONTINUED)

(odwraca się do Księdza)
Dziękujemy księdzu. Niewykluczone,
że się jeszcze spotkamy.

Policjanci ruszają do wyjścia. Starszy idzie przodem. Ksiądz odprowadza ich do sieni.

KSIĄDZ
(tonem specjalisty)
Sprawa jak widzę nie jest łatwa.
Pewnie zrobiliście już obławę.

Policjanci nic nie odpowiadają. Wychodzą bez słowa. Znów słysząc ujadanie psa.

43. WNĘTRZE. PLEBANIA. C.D.

Ksiądz patrzy za nimi przez okno. Droga jest śliska. Topniejący śnieg zamienił się w oblodzone kałuże. Młodszy z policjantów przeskakując przewraca się. Wstaje z ledwością, ma twarz skrzywioną bólem. Starszy bierze go pod ramię pomagając iść. Młodszy wyraźnie utyka, co i raz zatrzymują się i młodszy masuje stopę.

KSIĄDZ
(śmiejąc się złośliwie)
Ale numer! Ten młody skręcił sobie
nogę w kostce!

AKT VII

44. PLANSZA Z NAPISEM.

„Zima kończyła się. Dni stawały się coraz dłuższe. Dla Słowa nie był to czas łatwy, ani przyjemny. Mieszkał i pracował na plebanii. Pracy w gospodarstwie wraz z nadchodzącą wiosną przybywało, ale znajdował w niej ukojenie. Gospodyni wciąż na niego narzekała. Ksiądz nadal zbywał jego prośby o rozpoczęcie prac konserwatorskich. Wyglądało na to, że wolał mieć z niego pożytek jako z parobka niż konserwatora zabytków. Pewnego wietrznego dnia pod koniec zimy Słow sam wybrał się do kościoła stojącego samotnie wśród pól i na cmentarz w poszukiwaniu kamiennych rzeźb”.

45. WNEŹRZE. KOŚCİÓŁ. WCZESNA WIOSNA. DZIEŃ.

Słow uchyla ciężkie kościelne wrota. Jego sylwetka pojawia się w szczelinie światła. Wchodzi i rozgląda się. Jest we wnętrzu ewangelickiego kościoła przerobionego na rzymskokatolicki. Pozostawiając otwarte drzwi rusza środkiem, pomiędzy rzędami ławek. Jego wzrok przesuwają się po malowidłach drogi krzyżowej, po drewnianych filarach, na których wspierają się galerie. Słow widzi też rzeźby lecz wszystkie są drewniane i polichromowane. Przygląda się kamiennej posadzce i wytartym drewnianym stopniom prowadzącym w górę na galerie i do organów. Wchodzi na tyły organów, gdzie znajduje się urządzenie dmuchające w miechy. W schowku obok znajduje ekwipunek używany przy ceremonii drogi krzyżowej na kalwarię: drewniany krzyż, szatę i koronę cierniową. Przymierza koronę przeglądając się w małym brudnym lusterku przyczepionym obok klawiatury organów. Wraca do przedsionka i wspina się stamtąd wąskimi schodami na pierwszy podest wieży. Mroczna przestrzeń jest tu wypełniona nieprawdopodobną ilością belek konstrukcyjnych, wszystko pokrywa ptasie guano, fruują w powietrzu odrobiny pierza i kurz.

46. PLENER. DZIEŃ. WCZESNA WIOSNA. KOŚCİÓŁ I CMENTARZ W EDERLY.

Słow wychodzi tylnym wyjściem z kościoła i idzie drogą wśród pól w stronę cmentarza. Będąc już w pobliżu furtki musi przedrzeć się między krzakami, żeby ominąć błoto i kałuże na środku drogi. Wkracza wąską ścieżką między kamienne nagrobki i żelazne krzyże. Przypatruje się splekanym pomnikom, zatartym napisom i zblakłym fotografiom. Wydaje się jakby starał się coś tu odnaleźć. Krąży pomiędzy grobami rozrzuconymi w nieładzie. W pewnej chwili zauważa owalną fotografię z podobizną jakiegoś długowłosego chłopca z pierwszym wąsikiem. Napis obok informuje: „Najukochańszy nasz syn. Zaginął bez wieści”. Idzie dalej, wciąż jakby czegoś szukając i wreszcie, gdy ma już zamiar zawrócić, przykuwa jego uwagę mały zaniedbany grób na końcu cmentarza z przytwierdzoną do krzyża zwykłą papierową fotografią w oszklonej ramce. Widnieje na niej jego własna dwudziestoletnia twarz. Nie ma obok żadnego napisu. Słow wpatruje się długo i spokojnie w oczy młodzieńca na fotografii. Po raz kolejny przenika go nieodparte poczucie, że kiedyś wyszedł z tej wioski i teraz wrócił do niej, wrócił do domu. Ale jako kto? Na to pytanie nie znajduje odpowiedzi. Wydaje mu się, że żyje i nie żyje jednocześnie. Jest sobą i nie sobą. Lecz kim? Poprzez krzyże Słow widzi leżącą w dole wioskę i szosę biegnącą zakolami. Wraca błotnistą drogą na plebanię. Cały wypełniony jest dziwnym oczekiwaniem. Coś ma się za niedługo odkryć i uwolnić go z niepewności. Zatopiony w myślach obojętnie błądzi wzrokiem

(CONTINUED)

po bezkresnym polu, na którym bieleją płaty resztek topniejącego śniegu. Wieje dość mocny wiatr. Słow wdycha głęboko odurzający zapach wczesnowiosennego powietrza. Napełnia go prawie euforia, płynąca z przeczucia jakiejś niezwyklej wewnętrznej przemiany, która oczekuje go wkrótce, która już go ogarnia wraz z pierwszymi oznakami zbliżającej się wiosny. Nikogo nie spotyka po drodze. Dochodzi wreszcie na plebanie.

47. WNĘTRZE. POŁUDNIE. WCZESNA WIOSNA. PLEBANIA.

Gospodyni i Ksiądz wyszli. Słow jest sam na plebanii. Przysuwa wiadro z węglem w pobliże kuchni. Zagląda do ognia i dokłada kawałek węgla. Patrzy w okno. Zatrzymuje wzrok na wygasłym ekranie telewizora. Za oknem nagle śnieżyca. Słow przygląda się obrazkom na ścianie. Oprawiona stara mapa z napisami po rosyjsku, ołówkowy rysunek kościoła, pejzaż akwarelą, obraz Matki Boskiej Ostobramskiej, Obraz Jezusa z gorejącym sercem - pamiątka Pierwszej Komunii Świętej. Za oknem świeci teraz słońce, po śniegu ani śladu. Słow zagląda ostrożnie za przepierzenie staruchy. Nad jej piernatem wisi maleńki obrazek dzieciątka Jezus ze św. Józefem, medalik z Matką Boską na łańcuszku zawieszony na gwoździu, obok oprawiona w lichą ramkę fotografia dwóch kotków wycięta z pisma ilustrowanego i naklejona na tekturkę. Na małej szafce wysłużona książeczka do nabożeństwa o kartkach poczerwiałych od przewracania poślinionym palcem Gospodyni. Słow dotyka tych przedmiotów nieśmiało, z pewnym niedowierzaniem niczym relikwii.

48. PLENER. PRZEDPOŁUDNIE. WIOSNA. OGRÓD PRZY PLEBANII.

Słoneczny i piękny dzień. Słow jest w ogrodzie przy plebanii. Niesie drabinę, a w ręku ma młotek i koszyk z gwoździami. Odwiesza drabinę na haki przy ścianie drewnutni. Słychać świergot ptaków. Słow zatrzymuje się i przygląda jak budują sobie gniazdo pod okapem dachu. Słońce prześwieca między białą kwitnącymi gałęziami owocowych drzew. Kwitną też krzewy forsycji. Słow patrząc na nie uśmiecha się. Bierze grabie i zaczyna zgarniać suche patyki, resztki liści, zgniłych owoców i zeschniętych traw pomiędzy drzewami sadu. Z budy ze spokojem obserwuje go pies, wychodzi, przeciąga się i ziewa. Potem kładzie się na boku w słonecznej plamie. Słow zgarnął już część liści. Wybiera teraz ich resztki spomiędzy zębów grabi.

49. PLENER. OGRÓD. C.D.

Wtem słyszy wołanie za swoimi plecami, od strony drogi.

CHŁOPIEC

Proszę pana!

Za sztachetami ogrodzenia stoi Chłopiec, ten sam, którego napotkał zaraz po przyjeździe do Ederly. Słow mruży oczy, nie od razu go rozpoznaje. Podchodzi wolnym krokiem w stronę płotu. Chłopiec otwiera sobie furtkę. Przechodzi obok psa, który wcale nie szczeka, w ogóle nie reaguje, jakby go nie widział. Chłopiec zatrzymuje się przed Słowem. Ubrany jest w jasną koszulę rozpiętą pod szyją, wypuszczoną ze spodni. Uśmiecha się tajemniczo, jak ktoś, kto przyniósł dobrą wiadomość. Nic nie mówi. Słow uświadamia sobie, że oto stoi przed nim jedyny świadek jego przybycia autobusem do wioski. Chłopiec odczekuje chwilę i podaje mu złożoną na czworo kartkę wyciętą z zeszytu w linie. Słow czuje nagle mocne uderzenie serca, przeczuwając, że to list od Służącej. Nie otwierając go odwraca się i odchodzi parę kroków w cień kwitnącej jabłoni. Czyta.

50. PLENER. OGRÓD C.D. LIST. GŁOS SŁUŻĄCEJ Z OFFU.

„Najdroższy! Wybacz moje długie milczenie od czasu naszego ostatniego spotkania. To było konieczne dla Twojego bezpieczeństwa. Nie było jednak jednego dnia, bym nie myślała o tobie, nie marzyła o twoim dotyku. Ciekawa jestem czy śniłam ci się tak często, jak ty mnie? W chwili, gdy czytasz te słowa ja kończę już przygotowania do naszego odjazdu stąd, naszej ucieczki z Ederly. Pomaga mi ktoś, kto pozostaje w ukryciu - twój ojciec. Czekam na ciebie, miły. Przybądź jak najprędzej.”

51. PLENER. OGRÓD C.D.

Słow uszczęśliwiony przymyka oczy. Odwraca się do Chłopca, lecz ten odszedł niezauważony, zniknął. Słow wybiega na drogę, nigdzie ani śladu po nim. Pies leży spokojnie i patrzy na Słowa. Teraz jednak wstaje i wolno idzie w stronę swojej budy. Znika we wnętrzu. Słow przez dłuższą chwilę wpatruje się w okrągły czarny otwór budy. Wydaje się, że pies zniknął, rozpląnął się w jej głębi.

52. WNEȦRZE PLEBANII. CHWILĘ PÓŹNIEJ.

Słow wraca na plebanię. Otwiera szafę i wybiera sobie ubranie. Przebiera się w białą koszulę i czarny odświętny garnitur. Przegląda się w lustrze w drzwiach szafy.

53. PLENER. CHWILĘ PÓŹNIEJ. POŁUDNIE. LATO. WIOSKA EDERLY.

Słow idzie środkiem wiejskiej drogi. Mija domy, drzewa, parkany, rozwidlenia ścieżek. Jest piękny, słoneczny dzień. Po niebie płyną białe chmury. Słow krocząc środkiem ziemistej drogi to znika to się pojawia w plamach światła i cienia. Spogląda w górę i przez jakiś czas daje się oślepiac słońcu migoczącemu między gałęziami drzew. Mruży oczy. Przy płocie siedzi mały wiejski chłopiec - bosy, w krótkich spodenkach i białym podkoszulku. Kolana trzyma pod brodą. Na widok Słowa wstaje i kłania mu się grzecznie. Słow odpowiada na pozdrowienie z pewnym niedowierzaniem. Nieco dalej drogę przed nim przecina stary wieśniak prowadzący za sobą konia. Zatrzymuje się, odwraca w stronę Słowa i wolno, z szacunkiem zdejmuje z głowy czapkę. (animacja: niedokładne powtórzenie sceny przechodzącego wieśniaka z koniem) Słow zaczyna się czuć dobrze i bezpiecznie. Idzie mu się lekko. Uśmiecha się. Przyspiesza kroku. Nad jego głową wędruje migotliwe światło słońca. Pod nogami ściele się miękkie, niekończące się dywan światła i cienia. Odwraca się za siebie i daleko, na końcu drogi widzi sylwetki dwóch wieśniaków niosących łódź rybacką. Przecinają drogę i znikają między domami. Słow zbliża się wreszcie do ogrodzenia wokół domu Kitusów. Za parkanem krzewy i drzewa ogrodu, w którym stoi stara willa. Otwiera furtkę. Widzi stojące w cieniu drzew dwa wysokie, czarne, osiodłane do drogi wierzchowce. Wzbudza to w nim radość i uznanie dla fantazji dziewczyny. Znajoma ścieżka prowadzi go do obrosniętej winem werandy. Przed wejściem zatrzymuje się i raz jeszcze podziwia spokojnie stojące konie przywiązane do drzew. Słychać świergot ptaków. Słow nie puka. Naciska klamkę i wchodzi.

54. WNEȦRZE. POŁUDNIE. LATO. DOM KITUSÓW.

Weranda jest mroczna. Przez chwilę przyzwyczajają wzrok. Zauważa stojącą w rogu starą pralkę z wyżymaczką. Na podłodze kilka doniczek z zeschniętymi kwiatami. Opartą o ścianę miednicę. Szyby osnute są pajęczynami, popstrzone przez muchy i pajaki. Po prawej stronie długi, dobrze znajomy korytarz prowadzący do salonu. Mija drzwiczki pokoju Służącej. Coś mu podpowiada, żeby nie pukać lecz iść prosto dalej. Instynktownie stąpa coraz ciszej, na palcach. Mija kolejne pozamykane drzwi - do kuchni, do piwnicy. Zauważa ze zdziwieniem, że ktoś zdjął ze ściany wielkie wiszące tu zawsze lustro w rzeźbionej ramie. Zatrzymuje się. Wydaje mu

(CONTINUED)

się, że słyszy lekki szelest, lub skrzypienie krzesła w salonie. Pełen radosnego podniecenia wychyla głowę zza drzwi.

55. WNETRZE. POŁUDNIE. LATO. DOM KITUSÓW C.D.

Widzi siedzących za stołem dwóch mężczyzn w ciemnych mundurach podobnych do strojów francuskiej policji z czasów generała De Gaulle'a. Na stole przed nimi jakieś papiery i okrągłe kepi jednego z nich. To ci sami Policjanci, którzy w cywilnych strojach odwiedzili zimą Księdza. Starszy z nich odchylony od stołu, rozparty jest trochę niedbale na swym krześle. Młodszy trzyma dłoń na papierach siedząc prosto, blisko blatu. Patrzą na Słowa w milczeniu. Ten stara się zachować pewność siebie udając, jakby przypadkiem zaszedł do niewłaściwego pokoju.

SŁOW

(szeptem)

Przepraszam, jestem tu z kimś umówiony.

POLICJANT I

Możliwe, ale teraz jest pan zatrzymany.

(robi pauzę, dając Słowowi czas na wzięcie oddechu)

Z powodu podejrzenia o... zabójstwo.

(dodaje to łagodnym tonem, jakby nie chciał go zbytnio przestraszyć)

SŁOW

(też łagodnie)

Rozumiem, ale to pomyłka. Nie jestem osobą, za którą mnie bierzecie. Jestem kimś zupełnie innym.

POLICJANT II

To znaczy kim?

SŁOW

Jestem konserwatorem zabytków. Pracowałem u księdza. Ale my się przecież znamy! Spotkaliśmy się, gdy panowie byli u księdza plebana z wizytą, kilka miesięcy temu, w zimie...Pamiętacie chyba. Rozmawialiście z księdzem, a ja leżałem w łóżku, byłem chory...

(CONTINUED)

Policjant bierze w palce jakiś patyczek i bawi się nim.

POLICJANT I

(wskazując Słowowi miejsce przy stole)

Tak, pamiętam. Proszę usiąść. Jaka była przyczyna pańskiej choroby?

SŁOW

Zaziębiłem się...

POLICJANT I

(ponownie gestem zapraszając Słowa, by usiadł)

Gdzie?

SŁOW

(siada ociągając się z odpowiedzią)

Na podmokłej łące. Jeździłem rowerem i zgubiłem się...

POLICJANT I

Dlaczego pan się zgubił?

SŁOW

Było ciemno.

POLICJANT I

Co pan robił w ciemności na podmokłej łące? I to na rowerze?

SŁOW

Chciałem się stąd wydostać.

POLICJANT I

Co pan rozumie przez słowa: "wydostać się stąd"?

SŁOW

(milczy czując, że się pogrąża)

POLICJANT I

Co pan robił wcześniej, zanim postanowił pan się stąd wydostać? Czy zdarzyło się coś szczególnego? Czy wtedy u księdza był pan tylko przeziębiony, czy może również skaleczony na twarzy?

SŁOW

(milknie, czuje się przyparty
do muru)

Tak, byłem...Miałem sprzeczkę z
Bratem, tym zamordowanym...
Pobiliśmy się. Potem wyszedłem. To
znaczy wyrwałem się im... to dość
skomplikowane.

POLICJANT I

(jakby nie chciał już słuchać
o tym)

Jak się pan nazywa?

SŁOW

Słow.

POLICJANT I

Pański zawód?

SŁOW

Konserwator dzieł sztuki,
dokładnie: rzeźby kamiennej.

POLICJANT I

Wiek?

SŁOW

Czterdzieści sześć lat...

POLICJANT I

Ma pan jakiś dokument?

SŁOW

Tak... To znaczy miałem. Chyba
został w mojej torbie... którą
zgubiłem. To znaczy... wiem, że ją
zostawiłem tutaj.

Policjanci wymieniają ze sobą ukradkiem szybkie spojrzenia.
Starszy Policjant wydaje się karcić wzrokiem młodszego.
Przez chwilę kartkuje swoje notatki stukając bezwiednie
patyczkiem w blat stołu. Wygląda jakby chciał w ten sposób
odwrócić uwagę Słowa i dać czas młodszemu Policjantowi na
zajrzenie pod stół.

56. WNETRZE. POŁUDNIE. LATO. POD STOŁEM W SALONIE DOMU
KITUSÓW.

Młodszy Policjant spogląda pod stół, gdzie leży torba Słowa,
ale nie sięga po nią. Przeciwnie - stara się przesunąć ją
nogą pod własne krzesło. Nie mogąc sobie poradzić schyla się

(CONTINUED)

jeszcze bardziej i w końcu znika pod stołem udając, że coś mu upadło. Tu zapominając o torbie zaczyna rozglądać się. Obserwuje buty Słowa i buty swojego zwierzchnika. Węszy. W tym czasie starszy Policjant zadaje następne pytanie, które ma odciągnąć uwagę Słowa od przedłużającej się nieobecności młodszego Policjanta.

57. WNEȦRZE. POŁUDNIE. LATO. DOM KITUSÓW C.D.

POLICJANT I

(zagaduje zerkając na kolegę,
który zniknął pod stołem)

A może napije się pan troszkę kawy?

(Słow kręci przecząco głową)

Albo troszkę herbaty?

SŁOW

Dziękuję, nie chce mi się pić...

POLICJANT I

Pan powiedział, że jest tu z kimś
umówiony...?

Zanim Słow odpowie młodszy Policjant trochę przestraszony gwałtownie wynurza się spod stołu i uderza głową o kant. Rozmasowując guza zastyga na chwilę w tej pozycji i słucha odpowiedzi Słowa.

SŁOW

(z obawą czy nie zaszkodzi
służącej)

Tak... Z dziewczyną...

POLICJANT I

Z kim konkretnie?

SŁOW

Ze służącą.

POLICJANT I

W jakim celu?

SŁOW

(śmielej, jakby uchwycił się
kolejnego tropu)

Nie będę teraz niczego ukrywał. To
dziewczyna, którą kocham. To
znaczy...jesteśmy od jakiegoś
czasu kochankami. Mieliśmy stąd
odjechać razem. Właśnie dzisiaj.
Pomaga nam stary ojciec, który jest
ukrywany w piwnicy tego domu. A ona

(MORE)

(CONTINUED)

SŁOW (cont'd)
przysłała mi dzisiaj wiadomość
przez posłańca...

POLICJANT I
(bardziej powtarza za Słowem,
niż pyta)
Posłańca?

SŁOW
Tak, chłopca! Mieszka tu w wiosce.
Był pierwszą osobą, jaką
napotkałem, gdy tu przyjechałem,
zaraz po tym jak wysiadłem z
autobusu. Właśnie on wskazał
mi ten dom. Wszystko by
poświadczył, wystarczy go
zawołać...

POLICJANT II
(nie słuchając Słowa zbyt
pilnie, półgłosem do
przełożonego)
Czy mam wezwać dziewczynę?

Słow urywa. Jest zbity z tropu i zaniepokojony, jak gdyby
czekała go teraz trudna konfrontacja.

POLICJANT I
Tak.

Młodszy z Policjantów wstaje i mijając Słowa znika w
korytarzu. Idzie utykając. Słychać otwieranie jakichś drzwi
i ciche głosy.

58. WNĘTRZE. POŁUDNIE. LATO. DOM KITUSÓW C.D.

Po chwili wraca wraz ze Służącą. Słow próbuje nawiązać z nią
kontakt wzrokowy, lecz ona nie daje żadnego zahaczenia dla
jego oczekiwań.

POLICJANT I
Czy zna pani tego człowieka?

SŁUŻĄCA
Tak.

POLICJANT I
Czy wysłała pani do niego list
przez posłańca?

SŁUŻĄCA

Nie.

POLICJANT I

Czy kiedykolwiek miała pani, lub
zamierzała mieć z nim romans?

SŁUŻĄCA

Nie.

Policjanci wymieniają ze sobą spojrzenia i młodszy odprowadza dziewczynę z powrotem do sąsiedniego pokoju. Słow nie reaguje. Jego wzrok podąża za odchodzącą Służącą przyjmując jej zdumiewające zaprzeczenie z niemym spokojem, jak we śnie.

59. WNĘTRZE. POŁUDNIE. LATO. DOM KITUSÓW C.D.

Młodszy Policjant siada znowu za stołem, a starszy kontynuuje przesłuchanie.

POLICJANT I

(w jego głosie można wyczuć
chęć pomożenia Słowowi)

Wspominał pan o przyjeździe tutaj
autobusem...?

SŁOW

(z pewną rezygnacją, ale też
jakby większym spokojem)

Tak, przyjechałem tutaj autobusem.
Wieczorem. Miałem dostać w kościele
pracę jako konserwator rzeźby.
Tymczasem trafiłem do tego domu,
gdzie wzięto mnie za syna, który
zagiął przed wielu laty.

POLICJANT I

I co pan wtedy zrobił?

SŁOW

Próbowałem zaprzeczać, ale nie dość
skutecznie. Nie wiedziałem
właściwie co zrobić...

POLICJANT I

Czy nie brał pan pod uwagę, że oni
mogą mieć rację? Wtedy, gdy upadł
panu widelec, czy nie przeżył pan
deja vu?

(CONTINUED)

SŁOW

(zaskoczony, z wahaniem)
Tak..to znaczy...niezupełnie.
Wszedłem na chwilę pod stół,
za upuszczonym widelcem, i wtedy
zrozumiałem, że chcę się stać tym,
za kogo mnie wzięli. Poczułem się
strasznie samotny...!

(w tym momencie Słow i młodszy
Policjant spoglądają na siebie
ze zrozumieniem, po chwili
przerwy Słow podejmuje wątek)
Przedstawili mi dziewczynę, która
rzekomo była moją narzeczoną...
Chociaż mnie od pierwszej
chwili spodobała się inna, ta
właśnie służąca...Widziałem,
że brat od początku mnie
nienawidził, ale nie odstraszyło
mnie to...

POLICJANT I

(cierpko)

Słowem: nie umiał im pan odmówić
przyjęcia do rodziny?

(Słow potakuje)

A w jakich okolicznościach
doszło do pana bójki z bratem?

SŁOW

Powodem była dziewczyna, służąca.
On zobaczył nas siedzących razem na
łóżku. Całowaliśmy się. Wpadł we
wściekłość. Nie wiem... może był
zazdrosny o nią...Zranił mnie
znienacka małym patyczkiem w
dźiąsło...chyba wykałaczką...

(śmieje się nerwowo)

Chciał mnie upokorzyć...Pojawiła
się matka, zaczęła lamentować.
Wynikła szarpanina, oni
przytrzasnęli mnie drzwiami, tak
jak kiedyś, w tej historii z
ojcem... Może znacie ją panowie?
(przerywa i czeka na reakcję
Policjantów, znów się śmieje)

POLICJANT I

Czy to ten patyczek?

(Słow przytakuje, a Policjant
mówi dalej, jakby z nutą
współczucia)

Zawiódł się pan na tej dziewczynie
i to nie raz, prawda?

(CONTINUED)

(Słow nic nie odpowiada)
Pan zdaje się uważa, że ojciec
żyje i jest ukrywany w piwnicy tego
domu, tak?

SŁOW

Tak słyszałem...

POLICJANT I

Od kogo?

SŁOW

Opowiedziała mi o tym matka. Mówiła
też, że opiekował się nim, w
tajemnicy przed wszystkimi,
starszy syn, Krzysztof.

POLICJANT I

Czy przyjazd do wioski miał być
ważną zmianą w pana życiu? Dlaczego
pan tu przyjechał?

SŁOW

Chodziło mi wyłącznie o wykonanie
pracy konserwatorskiej.

POLICJANT I

Ale nie zajmował się pan tym? Czy
widział pan w ogóle tą rzeźbę?

SŁOW

Nie. Ksiądz nie pokazał mi jej.
Próbowałem sam ją znaleźć, ale nie
udało mi się.

POLICJANT I

Poszukiwał pan jej w kościele?

SŁOW

Tak, w jednym kościele i w drugim,
i na cmentarzu.

POLICJANT I

Czy znalazł pan może na cmentarzu
coś ciekawego?

(Słow waha się z odpowiedzią)

Na przykład jakieś fotografie na
nagrobkach?

SŁOW

Tak, najpierw zdjęcie jakiegoś
chłopca, a potem...

POLICJANT I

Swoje?

(Słow przytakuje)

A ojca?

SŁOW

Nie, ojca nie.

POLICJANT I

Czy pan jest również kamieniarzem?

Kuje pan litery na grobach?

SŁOW

Tak.

POLICJANT I

(po chwili namysłu)

Czekaliśmy w Ederly na ten pana
przyjazd autobusem...

Słow patrzy na niego ze zdziwieniem i oczekiwaniem na dalsze wyjaśnienie.

POLICJANT I

Nasze długie śledztwo doprowadziło
nas do pana.

SŁOW

(żarliwie)

Ale przecież chyba nie uważacie
panowie, że to ja zabiłem brata?
(uśmiecha się sztucznie)

Policjanci milczą, jakby czekali, że Słow doda coś jeszcze.
Przeciąga się napięta pauza.

POLICJANT I

(starając się mówić możliwie
łagodnym tonem i kręcąc przy
tym głową, jakby chciał
wyprowadzić Słowa z błędu)

Widzi pan, podejrzewamy pana o coś
zupełnie innego. Mianowicie o
zabicie ojca przed prawie
dwudziestu laty i ukrycie jego
zwłok z premedytacją w piwnicy.

(odczekuje chwilę)

O ile nam wiadomo nie ma pan brata
i jest jedynym synem swojej matki,
panie Krzysztofie.

Słow nie zaprzecza, nie broni się, jest spokojny. Jego oczy
utkwione w Policjancie rozszerzają się, robią się podobne do

(CONTINUED)

oczu z młodzieńczej fotografii na cmentarzu. Słowa policjanta przyjmuje jak oczywistość, jak orzeczenie sądowe. Drugi Policjant wstaje i wychodzi do korytarza. Znowu słysząc odgłos drzwi i ciche głosy.

60. WNEȦRZE. POŁUDNIE. LATO. DOM KITUSÓW C.D.

Policjant wraca w towarzystwie Matki. Starsza pani idzie wolno, podtrzymywana przez Służącą. Po jej chudych policzkach płyną łzy. Słow patrzy na nią tak, jak wówczas, gdy ujrzał ją po raz pierwszy powtarzającą: „synku, synku”.

POLICJANT I

Czy może pani odpowiadać na pytania?

(Matka daje skinieniem głowy znak, że tak)

Czy poznaje pani tego mężczyznę, pani Mario?

MATKA

Tak...

POLICJANT I

Czy potwierdza pani, że jest to jedyny pani syn, Krzysztof?

MATKA

Tak. To mój jedyny syn, Krzyś.

SŁOW

(cichym głosem, jakby przekonywał samego siebie)

Nie jestem jej synem...

MATKA

(gorzko, patetycznym szeptem)

To prawda. Nie mam już syna.

Kobiety wycofują się o krok, podczas gdy obaj Policjanci wstają od stołu. Podchodzą do Słowa i wyprowadzają go z pokoju. Słow nie opiera się.

61. WNEȦRZE. POŁUDNIE. LATO. DOM KITUSÓW C.D.

Wędrują razem korytarzem, przechodzą przez werandę. W drzwiach pierwszy przechodzi młodszy Policjant, za nim Słow a na końcu starszy Policjant. Schodzą po schodkach do ogrodu.

62. PLENER. POŁUDNIE. LATO. OGRÓD I DROGA PRZED DOMEM
KITUSÓW.

Dwaj inni policjanci odwiązują właśnie i wyprowadzają za uzdy wysokie, czarne, policyjne wierzchowce. Starszy Policjant otwiera furtkę i wychodzi na drogę pierwszy. Gromadka mieszkańców wioski przygląda się całej scenie z ciekawością. Są wśród nich Ksiądz i stara Gospodyni, Organista z Narzeczoną. Słow nie odzywa się do nikogo z nich ani oni się nie odzywają. Na ich twarzach wymalowana jest satysfakcja i ulga z powodu ujęcia mordercy, ale też rodzaj współczucia dla niego. Słow odbiera to ze spokojem, choć też trochę jakby z niedowierzaniem. Przed nim policyjna furgonetka. (Citroen H Van) Gapie odsuwają się z respektem gdy Policjanci i Słow zmierzają ku niej. Słow raz jeszcze ogarnia wzrokiem mieszkańców wioski. Dominuje wśród nich zwalista, wysoka postać Księdza. W tym czasie ścieżką przez ogród nadeszły też Matka ze Służącą i, przytulone do siebie, zatrzymały się przy przy furtce. Dwaj młodzi policjanci wyprowadzili swe konie na drogę. Pogoda jest niezmiennie słoneczna i bardzo ciepła. Upał łagodzi lekki wiatr, szeleszcząc liśćmi drzew i powiewając lekko włosami kobiet. Wolno suną po niebie białe obłoki. Słychać świergoczące w gałęziach ptaki. Mały chłopiec stojący obok jednego z wieśniaków patrzy na Słowa ze współczuciem. Chciałby mu pomóc, widok bezwzględnych policjantów budzi w nim gniew. Rusza w ich kierunku i groźnie tupie nóżką plując w ziemię. Policjant odgania go wzrokiem i lekkim gestem dłoni. Chłopiec cofa się dając się przytulić ręce wieśniaka niczym mały bohater. Ojciec wydaje się być dumny z chłopca. Słow widzi to również a potem zatrzymuje swoją uwagę na starej Gospodyni, która jak zwykle gada coś do siebie pod nosem.

GOSPODYNI

(z nienawiścią zerkając na
Słowa)

Przybłąda i wałkoń, nic więcej...
Czort go przyniósł do wsi. Cały rok
ksiądz darmożjada żywił, a
organiście, porządnemu człowiekowi,
kwaterę wymówił...

Nikt nie zwraca na nią uwagi. Wygląda na niespełna rozumu. Nawet Słow nie jest w stanie uwierzyć w jej zrządzenie. Odwraca się i wsiada do auta. Za nim młodszy Policjant i strażnik, który otworzył przed Słowem drzwiczki.

63. WNETRZE FURGONETKI POLICYJNEJ, POŁUDNIE, LATO, DROGA I SZOSA W EDERLY I DALEJ.

Zamykają drzwi. Starszy Policjant siada obok kierowcy, w szoferce. Słow i mieszkańcy obserwują się wzajemnie przez zaokrąglone okienko w tylnych drzwiach samochodu. Policjanci na drodze dosiedli swych koni, ale nie odjeżdżają. Nikt nic nie mówi. Wreszcie samochód rusza, bardzo powoli, tak że grupa na drodze może podążać za nimi przez pewien czas. Gdy Słow patrzy na nich wydają mu się podobni do żałobników z Księdzem idących za karawanem. Potem auto przyśpiesza i tamci nie nadążając zatrzymują się. Już tylko wzrokiem odprowadzają oddalającą się furgonetkę. Stopniowo ich sylwetki stają się coraz mniejsze, w końcu znikają za zakrętem drogi. Siadający naprzeciw Słowa policjant opiera głowę o oparcie. Przygląda się Słowowi a potem przymyka oczy. Słow tymczasem zaczyna lekko pociągać nosem zaintrygowany jakimś zapachem.

SŁOW
(pociągając nosem)
Co tak ładnie pachnie?

Z szoferki, poprzez otwarte okienko odwraca się do niego starszy Policjant.

POLICJANT I
Pierniczki w czekoladzie. Chce pan spróbować?

Słow przytakuje skinieniem głowy. Policjant wysuwa przez okienko otwartą torebkę z pierniczkami i częstuje go. Słow chce wziąć jeden ale niechcący wyciąga dwa. Uśmiecha się przepraszająco.

SŁOW
Wzięły mi się dwa...Można?

POLICJANT I
Jasne!
(potrząsa torebką)
A wy chłopaki co? Też sobie weźcie... No! Nie krępujcie się. Mam więcej.

Policjanci trochę zawstydzeni grzecznie biorą po pierniczku i zjadają uśmiechając się. Starszy Policjant co i raz wysuwa torebkę i częstuje ich oraz Słowa. Atmosfera staje się coraz swobodniejsza. Samochód opuszcza wreszcie wyboistą wiejską drogę, przecina pusty plac targowy i wyjeżdża na szosę. Wciąż nie nabiera jednak rozpędu.

(CONTINUED)

POLICJANT I

(do kierowcy)

Co tak jedziesz jak za pogrzebem?
Wyprostuj trochę prawą nogę!

Kierowca uśmiecha się szatańsko, jakby tylko czekał na takie przyzwolenie.

KIEROWCA

(pochylając się nad
kierownicą)

Nie ma sprawy...

Samochód gwałtownie przyspiesza, aż siedzący w środku przewracają się. Wszyscy się śmieją. Starszy policjant podaje im do tyłu torbę z pierniczkami tak, żeby u nich już została. Samochód pędzi po szosie jak szalony. Wyprzedza inne samochody. Starszy Policjant włącza radio, z którego płynie ludowa rumuńska muzyka grana na smyczkach. Robi się coraz weselej. Mijają w wielkim pędzie chłopa prowadzącego krowę, która ze strachu daje nura w zboże. Wieśniak przejęty goni za nią w szkodę. Wymachuje pięścią za furgonetką. Policjanci zdejmują czapki. Śmieją się jak dzieci. Słow wraz z nimi. Przechylają się na każdym zakręcie z głośnym krzykiem, łapiąc się za siebie wzajemnie, żeby nie pospadać na podłogę. Przed nimi autokar wycieczkowy, zrównują się z nim i machają do zachwyconych dzieciaków. Potem znów dodają gazu i wyrывают do przodu. Warczy silnik. Gra muzyka. Wyprzedzają kolejne pojazdy, które ustępują im z drogi. Jest wesoło i zupełnie beztrosko ale narasta też obawa, że ta szalona jazda, coraz szybciej i szybciej, coraz bardziej ryzykownie, może się zakończyć śmiertelną katastrofą. (sposób filmowania i montaż podkreślają niepokojący pęd, który zdaje się prowadzić nieodwracalnie do fatalnego końca eskapady; jednocześnie pozostajemy we wrażeniu, że Policjanci dobrze wiedzą, co zaraz może nastąpić i bynajmniej nie czują przed tym lęku, tylko Słow pozostaje nieświadomy; (referencja: film krótkometrażowy „Oni dopędzili prom” reż. Carl Theodor Dreyer, Dania 1947). W pewnej chwili Słow zaczyna zdradzać oznaki zaniepokojenia. Rozgląda się jak dziecko na karuzeli, gdy nabiera ona coraz większego rozpędu i pojawia się strach, a już nie da się wysiąść.

SŁOW

Panowie, hej, czy nie przesadzacie?
Ej, ty!

Tamci kiwają głowami i uśmiechają się.

POLICJANT I

A od kiedy to zmarli mieliby bać
się śmierci?

(CONTINUED)

Chichocze i nie wiadomo, czy traktować jego słowa jako dowcip czy straszną prawdę. Krajobraz za oknami furgonetki migocze konwulsyjnie i rozmazuje się w falujące wstęgi.

Animacja (ok. 30 sek.)

W rytm muzyki poruszają się w mroku, węzowymi ruchami, animowane słoje drewna. (intensywna ludowa muzyka rumuńska).

NAPISY KOŃCOWE.

Biblioteka Scenariuszy Filmowych PWSFTviT w Łodzi